[1564]

Nr. 6 (1358). Warszawa, 9 Lutego 1907 r. **Rok XXVII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19 **Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Klęski sekciarstwa.

Niejednokrotnie porównywano socyalizm z chrześciaństwem. Rzeczywiście oba te wielkie systematy życia i myśli mają dużo punktów wspólnych: podstawę moralną, równającą wszystkich ludzi a broniącą szczególnie upośledzonych i wyzyskiwanych, dogmatyzacyę nauki mistrza i ortodoksyę jej wyznawców, uznawanie wolnego jej rozbioru i zmian za bluźniercze kacerstwo, rozrost na jej gruncie sekt, wzajemnie się nienawidzących i zaciekle zwalczających, ogłoszenie każdej z nich za jedynie zbawczą i nieomylną wiarę itd. Zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy pierwotna ewangelia socyalizmu zaczęła kostnieć i rodzić ślepy fanatyzm, owo podobieństwo stawało się nieraz zupełnem. Z obu stron dosięgło ono jednakiego stopnia nietolerancyi i nienawiści względem inaczej myślących, z obu stron wielkie idee wtłoczone zostały w maleńkich ludzi, którzy całkowicie utożsamili siebie z niemi, jak najmizerniejszy klecha utożsamia siebie z Kościołem a nawet z Chrystusem.

To odjęcie socyalizmowi żywotności rozwojowej, to sparaliżowanie go bezwzględną ortodoksyą, to odcięcie go od związku z innemi dziedzinami życia za pomocą sekciarskiej wyłączności i nienawiści, to uniezdolnienie go do pracy twórczej musiało ujemnie oddziałać na jego rozrost i siłę. Wpływ ten wyraził się bardzo znamiennymi objawami. Przedewszystkiem na kilku zjazdach robotniczych — w Niemczech, Francyi, Włoszech — przedstawiciele związków zawodowych — to znaczy: reprezentanci właściwej masy robotniczej — zwrócili się energicznie przeciwko zwierzchnictwu „partyj“ socyalistycznych — to znaczy: przeciwko komitetom burżuazyjnym, opartym na programach socyalistycznych a wyzyskiwającym moc i ruch proletaryatu dla rachub politycznych. Obecne wybory do parlamentu niemieckiego przyniosły stronnictwu socyalistycznemu niebywałą klęskę, która jest naturalnym wynikiem jego nadmiernej pychy, bezczeszczenia wszystkich po za „towarzyszami“ żywiołów społecznych, zamknięcia się wyłącznie w negacyi i złorzeczeniu, co zniechęcało i odstręczało pierwiastki z niem sympatyzujące, a jak się okazało—bardzo liczne. Stronnictwo to, pozostawione same sobie, straciło blizko połowę swoich mandatów.

Ale może jeszcze wymowniejszym był przebieg obrad zjazdu robotniczego w Belfaście. Objaśnić należy, iż robotnicy angielscy zawsze objawiali wstręt do doktryneryzmu i teoretyzacyi: oni tworzyli organizacye socyalizmu, nie używając dla nich nawet tej nazwy i nie trzymając się bezmyślnie stałego szablonu. Jak cały ich naród, tak też oni naprzód dokonywali odpowiednich potrzebom czynów, a potem z nich wyprowadzali ogólne reguły, nie zaś odwrotnie. Nadto, obdarzeni zmysłem praktycznym, nie odgradzali się niebotycznymi ostrokołami od klas burżuazyjnych i łączyli się chętnie w parlamencie z partyą liberalną. Dopiero przed paru laty utworzyli w nim osobną *Labour party*, która naturalnie zachowała przyjazny stosunek z dawnymi sojusznikami i zapomocą nich, zdobywa sobie nowe korzyści. Otóż na zjeździe w Belfaście poddano głosowaniu szereg wniosków, zaczerpniętych z „czystego marksizmu“, które bez wyjątku upadły a towarzyszyły temu upadkowi szczegóły niezmiernie ciekawe, bo świadczące o wielkiej dojrzałości umysłowej obradujących. Najważniejszym z tych wniosków był taki: ostatecznym celem partyi robotniczej winno być zburzenie ustroju kapitalistycznego, zapewnienie całkowitego zarobku i upaństwowienie środków produkcyi; dla osiągnięcia tego celu partya robotnicza powinna w parlamencie oddzielić się od wszystkich innych. Czy my możemy śród naszej socyalistycznej rzeszy wyobrazić sobie takiego śmiałka, któryby odważył się nie uznać tego żądania? Jednakże ono odrzucone zostało 835,000 głosów przeciw 99,000, a co godne uwagi — że wystąpili przeciw niemu wybitni przewódcy, między którymi był Quelch, socyaldemokrata i marksista. Gdy znowu ten Quelch wniósł projekt wyznaczenia komisyi, którаby opracowała program „*obowiązujący*“ dla robotników“, 1,021,000 głosów oświadczyło się przeciw niemu a tylko 76,000 za nim [1]). Są to uchwały, które nie mieszczą się w zwyczajnych głowach doktrynerskich. Mieszczą się natomiast doskonale w głowach niezaciśniętych teoretycznemi formułami, lecz otwartych dla pojmowania praw rzeczywistego życia. I właśnie dzięki temu, że Anglia posiada w sferze robotniczej mnóstwo takich umysłów szerokich, liczy ona najmniej „partyj“ i prawowiernych wyznawców „czystego“ socyalizmu a najwięcej instytucyj socyalistycznych. Podczas gdy w innych krajach wodzą się za czuby scholastycy i sekciarze doktryny, a broniony przez nich proletaryat śród tej walki coraz bardziej biednieje, tam nie słychać wcale

[1]) Te wysokie cyfry nie oznaczają ilości osób obecnych na zjeździe, lecz ilości głosów na nim reprezentowanych.

teoretycznego harmidru i partyjnego zgiełku, ale za to klasa robotnicza wzrasta w potęgę i znaczenie. Gdyby zaczęto w nią wmawiać, że ona powinna urządzić powstanie zbrojne, przekształcić stosunki z kapitałem za pomocą rewolwerów i wywożenia złych dyrektorów taczkami za mury fabryki; gdyby jej radzono, ażeby „plunęła na całą podłą burżuazyę", uznałaby takich doradców za niepoczytalnych. Uśmiałaby się ona serdecznie, usłyszawszy, że gdzieś nad Wisłą kilkadziesiąt tysięcy zorganizowanych robotników dzieli się między cztery „partye"; że te partye raczej zgodziłyby się na zgubę świata, niż na zmianę jednego wyrazu w swoich świętych przykazaniach, że one trudnią się głównie publicznem spotwarzaniem stronnictw postępowych i demokratycznych, że najlżejsza krytyka ich działań uważana jest za obrazę socyalizmu i nieprzyjaźń względem ludu — i że to wszystko czynią, ten dogmat nieomylności i nietykalności podtrzymują burżuazyjni adwokaci proletaryatu.

Rzecz naturalna, że klęski i porażki doktryny, że tak powiemy — teologii socyalizmu nie nadwyrężają jego mocnych podwalin i nie tamują ruchu roboczego. Przeciwnie, o ile ruch ten wydobędzie się ze sztucznych kanałów teoretycznego mędrkowania i wpłynie w naturalne łożyska życia, pogłębi się i zwiększy rozpęd swego nurtu.

AUTONOMIA I SAMORZAD.

Zasady samorządu angielskiego.

Ojczyzna samorządu nie zna tego wyrazu. Stworzył go Rudolf Gneist, nadając swemu głównemu dziełu, poświęconemu gruntownym, źródłowym badaniom ustroju społecznego Anglii, tytuł „Self-Government". To połączenie wyrazów jest dla Anglika zupełnie niezrozumiałe, a właściwiej—zbyteczne, i w tem zjawisku zawarta jest pełna głębokiej treści różnica poglądów na istotę i zadania samorządu miejscowego w świadomości obywatela wysp brytańskich a mieszkańca kontynentu. Ten ostatni, wychowany w warunkach biurokratyczno-dośrodkowych dążeń władzy, nie może wyobrazić sobie państwa inaczej, niż właśnie w postaci władzy, wzniesionej *ponad* społeczeństwem, powstrzymującej i regulującej bieg jego życia, a więc do pewnego stopnia — przeciwstawnej społeczeństwu. Stąd antyteza: *rząd—samorząd.* W pierwszym wypadku społeczeństwem rządzi państwo, w drugim — samo społeczeństwo. Nic podobnego nie spotykamy w Anglii. Anglia nietylko nie zna państwa, które by stało ponad społeczeństwem i z jakichkolwiek punktów widzenia mogło być jego sprawom przeciwstawiane, ale nawet samo pojęcie państwa, jako takiego, zupełnie jest tam nieznane. Nadzwyczaj rzadko można spotkać wyrazy English State i English Societes. Natomiast Anglik używa słów prostych i wiele znaczących: Government i Nation, rząd i naród. Dlatego też Anglik nie zna wyrazu „samorząd", albowiem w umyśle jego nie może się zrodzić pojęcie o przeciwieństwie pomiędzy rządem zgóry i rządem, że tak powiemy, z wewnątrz. Każdy rząd nazywa się „government", jedyna zaś różnica w obrębie tego pojęcia leży pomiędzy określeniami „central government" i „local government".

Lecz przeciwieństwo poglądów Anglika i mieszkańca kontynentu na *samorząd miejscowy* jest jeszcze bardziej jaskrawe. U nas powstaje pytanie całkiem naturalne, jaki zakres zadań należy do samorządu lokalnego, i jakie zadania muszą wejść w zakres działalności samego państwa? Zwykła odpowiedź na to pytanie jest taka: samorząd lokalny rozstrzyga wszystkie sprawy miejscowe, państwo rozstrzyga sprawy ogólno-państwowe. Rozumowanie to, najzupełniej dla nas jasne i proste, Anglikowi wyda się ciemnem i całkowicie niezrozumiałem. Zauważy on, że zna tylko jedną różnicę pomiędzy rządem miejscowym a centralnym: pierwszy znajduje się *na miejscu*, drugi *w centrze*. Po za tem, jak jeden tak i drugi załatwia wszelkie sprawy, a organa rządów miejscowych są organami rządu państwowego. I w rzeczy samej, innego, *państwowego* w naszem znaczeniu, rządu Anglia nie zna: rząd miejscowy lub, jak mówimy na kontynencie, samorząd miejscowy wyczerpuje prawie do ostatka cały ów zarząd wewnętrzny kraju, zarząd, który w państwach kontynentu znajduje się w rękach ministeryum spraw wewnętrznych i całej sieci biurokratycznej, oplatującej państwo.

Tu należy, jednak, zapobiedz pewnemu nieporozumieniu, naturalnemu dla obywatela, wykształconego na zasadach państwowości kontynentalnej. Określone wyżej znaczenie miejscowego rządu w Anglii może być zrozumiane w ten sposób, że państwo ustępuje tym rządom miejscowym pewną część swoich funkcyj, pragnąc, ze swojego iście demokratycznego stanowiska, mieć do czynienia nie z urzędnikami, lecz z samem społeczeństwem. Takie pojmowanie byłoby mylne. Ponieważ Anglia nie zna państwa po za społeczeństwem, nie może więc być mowy o ustępowaniu jakichkolwiek państwowych funkcyj. Stosunek rzeczy jest zupełnie odwrotny. Samo społeczeństwo, wytwarzając, w charakterze państwa, pewne zadania i funkcye, bierze na siebie ich spełnianie i, zależnie już od specyficznego charakteru tych funkcyj, wypełnia je albo w jednym centrze lub też w rozmaitych miejscach kraju. Jeżeli funkcya wymaga wszechterytoryalnej organizacyi, jak naprzykład administracya pocztowa, wykonywa się ona w wszech-centrze. W przeciwnym razie funkcye są wykonywane w centrach poszczególnych, jak nap. oświata narodowa, opieka publiczna i inne, mające charakter nawskroś państwowy. W ten sposób rządy miejscowe w Anglii nietylko nie są pełnomocnikami jakiegoś rządu centralnego, ale nie mają w składzie swoim nawet żadnej jednostki, któraby od niego zależała. Nawet w owych czasach, gdy cały rząd miejscowy wykonywany był przez sędziów pokoju, wyznaczanych władzą królewską, nie miał on charakteru pełnomocnika i delegata. To wyznaczanie było jedynie wyborem pewnej jednostki z liczby przedstawicieli społeczeństwa miejs-

Rochl Brochajs.

Na Przedmieściu.

SZKIC.

Przekład z żargonu

R. C.

(Ciąg dalszy).

I niema dla mnie sprawy świętej, jeśli może mnie ona pozbawić jego! Nie mogę codziennie drżeć na myśl, że nie wróci do mnie więcej, nie mogę pogodzić się z myślą, że ten mędrzec, ten bohater, myśli o czem innem a nie o mnie!... Nieszczęśliwą się czuję, że oczy jego nie na mnie patrzą, że słowa jego nie brzmią dla mnie, nie są do mnie skierowaną pieszczotą!... Jenta, ta obrzydliwa Jenta! Ani przeczuwa, jakiego ma we mnie wroga! Gdy mówi ze mną, widzę, że uważa mnie za człowieka, opowiada mi o wielu rzeczach, chce usłyszeć moje zdanie, patrzy na mnie i chwali mnie; mówi mi, że jestem ładna, widocznie szanuje mnie wogóle jako żonę mistrza. Nienawidzę ich wszystkich, jej i jej męża, i towarzyszów ich, i wszystkich, kto idzie z nim ręka w rękę, kto mnie go pozbawia!...

Był czas, przed weselem i potem, kiedy mnie kochał. Znajdował we mnie wówczas dużo dobrego. Kiedy razem czytaliśmy, wydawało mu się, że rozumiem inaczej, głębiej, lepiej aniżeli inni. Odkrył we mnie specyalny rozum, szczególne upodobania. Miał wówczas co do mojej osoby mnóstwo planów, mnóstwo pomysłów. I cóż? Czy ja się zmieniłam, czy też on pomylił się co do mnie?

A teraz jest zimny, i zimno to mrozi mi krew, zatruwa mi każdą chwilę mojego życia... Pomiędzy mną a nim stanęła jego „sprawa", jej poświęca się z każdym dniem goręcej! W życiu mojem jest ona dzikiem zwierzęciem, które w każdej chwili grozi mi odebraniem go, zaś bez niego życie moje — to noc wieczysta, żadnem nierozjaśniona światełkiem...

Przyszło mi na myśl, że gdybym zachorowała, zmuszony byłby siedzieć w domu; wszak nie porzuciłby mnie samej jednej na pustkowiu wśród pola. Zaczęłam więc obmyślać, na co mam zachorować. Chciałam silnie się przeziębić, chodziłam więc po dworze w jednej bieliznie. stawałam długo boso na śniegu, — ale wszystko to bezskutecznie. Aż pewnego razu zupełnie niespodzianie zrobiło mi się niedobrze i upadłam bez zmysłów. Nie wiem, kto mu dał znać, lecz, gdy odzyskałam przytomność i zobaczyłam dokoła siebie mnóstwo ludzi z lekarzem z naszego przedmieścia na czele, mąż mój trzymał mnie na rękach i smutnie patrzył na mnie. Zawstydziłam się jak dziewczyna jego spojrzenia i zamknęłam oczy. Doktór kazał wszystkim rozejść się, a mnie poradził, abym się szanowała: znalazł, że jestem bardzo chora, że serce moje nie w porządku, a nadto, że jestem w czwartym miesiącu ciąży. Gdy wszyscy odeszli, zrobiło mi się niewypowiedzianie dobrze!... Łóżko moje było białe, czyste, dokoła jasno, a on siedział napół leżąc w głowach moich, patrzył na mnie i głaskał po głowie. Ręka którą mnie głaskał, była taka miękka, dobra, a mnie było błogo jak nigdy.. Uwijał się dokoła mnie cały wieczór, podawał mi wszystko, napoił i nakarmił i przez cały czas rozmawialiśmy tak serdecznie, tak poufnie!... Zdawało mi się, że mnie kocha, i miłość jego uczyniła mnie szczęśliwą i wygoiła zastarzałe rany, któremi tak poszarpana była cała moja istota. Po pewnym czasie nadeszła Jenta. Siadła obok mnie na krześle i rozgadała się z nim, siedzącym wciąż jeszcze przy mojem łóżku, trzymającym mnie za ręce, gładzącym moje palce i często ukradkiem niosącym je do ust. Nie odchodził nigdzie, nie czytał, śmiał się, siedząc przy mnie, żartował, namawiał do jedzenia... Nazajutrz zrana nie poszedł do fabryki. Gwizdki fabryczne nie obchodziły nas. Poczułam się zdrową. Prosił abym została jeszcze w łóżku, lecz nie miałam czasu;

cowego, którzy całem gronem stanowili miejscową władzę społeczno-państwową. W ten sam sposób korona „wyznacza" premiera—wodza tej partyi, która wskutek swej większości parlamentarnej uosabia władzę państwową danej chwili.

Z tej cechy zasadniczej angielskiego samorządu lokalnego wypływają konsekwentnie wszystkie inne. Ponieważ ów samorząd jest rządem państwowym, nie może być więc mowy o podziale władzy miejscowej, jak to zachodzi na kontynencie, gdzie sprawy administracyi miejscowej mają dwa działy: jeden znajduje się w rękach rządu i wykonywany jest przez urzędników miejscowych, drugi, przeważnie gospodarczy, znajduje się w rękach organów samorządu miejscowego. Nic podobnego nie spotkamy w Anglii. Tam jedne i te same organa samorządu miejscowego załatwiają sprawy, należące do obu działów powyższych, wykonywając zarówno funkcye „rządowe", jak i gospodarcze. One są odpowiedzialne za spokój i ład w tej samej mierze, jak i za stan wzorowy szkół i dróg. Dalej, samorząd lokalny angielski jest całkowicie autonomiczny. Na kontynencie samorządy miejscowe otrzymują pewne kompetencye, zwykle w zakresie tych spraw, które nie mają ogólno-państwowego charakteru, i w granicach tych kompetencyj funkcye ich nie są zgóry określone; mogą one czynić wszystko, na co im zezwoli władza rządowa. Angielski samorząd miejscowy, jakeśmy widzieli, nie ma szczególnej kompetencyi: należy do niego całkowita sfera wewnętrznego zarządu. Natomiast funkcye jego ściśle określa ogólne prawo; może i musi on czynić jedynie to, co prawo obowiązkowo lub warunkowo na niego wkłada. Wypływa to z samej natury miejscowego samorządu w Anglii, jako ogólnej formy wewnętrznego rządu. Rząd może być sprawowany jedynie na podstawie ścisłego prawodawstwa. Faktycznie rząd jest tylko stosowaniem prawa. Naturalnie, że i samorząd nie może być niczem innem. Lecz jeśli tak, to żadna strona działalności samorządu miejscowego nie może być dostępna wtrącaniu się administracyjnemu. Jeśli samorząd miejscowy nie wypełnia prawa lub je przekracza, może być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Może to uczynić zarówno minister, jak każdy obywatel. Lecz wydawać administracyjne nakazy lub zakazy, albo też poddawać samorząd miejscowy w postaci jego organów i wykonawców karom dyscyplinarnym — takiego prawa nie ma żaden minister, ani obywatel. Nawet w razie wyroku sądowego organ samorządu nie może być zniesiony: kara spada tylko na tych jego członków, którzy głosowali za przekroczeniem prawa. Również żaden urzędnik samorządu nie może być wydalony bez wyroku sądowego, który udowodni nadużycia. Każdy zaś urzędnik może być pociągnięty do sądu zarówno przez ministra, jak i przez każdego obywatela.

W jednej tylko sferze działalność autonomiczna samorządów angielskich napotyka pewne ograniczenia: w sferze opieki publicznej. Wyższe komisye, kierujące tą sprawą, są w znacznym stopniu zależne od ministeryum, które nietylko przestrzega wykonywania praw, lecz reguluje czynności komisyj przez swoich urzędników i zapomocą rozporządzeń specyalnych. Jest to wyjątek z ogólnej praktyki, wyjątek, stanowiący ciągłe przekraczanie praw obyczajowych, na których w ostatniej instancyi spoczywają zarówno prawa samorządów miejscowych, jak i ogólne prawo konstytucyjne obywateli angielskich. Tłomaczy się on w ten sposób, że tak zwane „prawo, dotyczące biednych z 1834 r.", na którem opiera się sprawa opieki publicznej w Anglii, jest właściwie prawem represyjnem wobec biednych, a jego twórcy, bojąc się oburzenia narodowego, od samego początku postawili administracyę tego prawa na stopie dyktatorskiej. Pierwiastkowo mieli oni na widoku całkowite usunięcie udziału społeczeństwa z tej sfery i wytworzenie specyalnego systemu biurokracyi ministeryalnej, ale napotkawszy silny opór w samym parlamencie, zgodzili się na kompromis, którego rezultatem jest szereg miejscowych komisyj pod baczną kontrolą rządową. W ten sposób ograniczenie autonomii administracyjnej jest w tym wypadku aktem klasowego despotyzmu, a wobec takiego aktu, jak wiadomo, milknie wszelka konstytucya.

Zrozumiałe jest samo przez się, że gdy mówimy o autonomii administracyjnej angielskiego samorządu miejscowego, mamy na myśli jedynie ściśle wykonawczą stronę jego działalności. Przeciwnie zaś, zarządzenia finansowe wymagają często zatwierdzenia parlamentu lub ministeryum. Kiedy np. magistrat zamierza wprowadzić tramwaje miejskie, musi się zwrócić do ministeryum — nie o pozwolenie na samo przedsięwzięcie, ale tylko o kredyt. I ministeryum w danym wypadku występuje nie w roli naczelnika, ale w charakterze obrońcy interesów ludności opodatkowanej, wskutek zaś tej roli ma ono obowiązek zbadania, zapomocą ankiety specyalnej, istotnych warunków finansowych na miejscu. Podobnież, pragnąc ogłosić jakiekolwiek prawa obowiązujące (bye laws), magistrat musi otrzymać zgodę ministeryum; ale i w tym wypadku ministeryum nie występuje jako władza wyższa, ale tylko jako stróż zasady konstytucyjnej z jednej strony, interesów zaś ludności miejscowej—z drugiej. W pierwszym charakterze ministeryum obowiązane jest zbadać projektowane prawa ze stanowiska ich legalności, i zdanie ministeryum może być przez magistrat zaskarżone sądownie. W drugim charakterze—ma ono obowiązek publicznego zbadania sprawy na miejscu, w celu przekonania się, czy ludność miejscowa nie ma poważnych zarzutów przeciwko projektowanym prawom. W ten sposób, nawet w wypadkach udziału wyższych instancyj w czynnościach samorządów lokalnych, nie spotykamy cech tej kontroli rządowej, do której tak nawykliśmy na kontynencie: albowiem w postaci ministeryum, a właściwie przy pomocy ministeryum — kontrolę ową wykonywa sama ludność miejscowa.

Te zasady ogólne, wypływające ze wspólnego źródła, dają nam klucz do zrozumienia wielu cech istotnych angielskiego samorządu miejscowego. Nie zatrzymując się przy szczegółach mniejszej wagi, przejdziemy do zbadania dróg, jakiemi wcielają się one w życie samo, w sprawie organizacyi samorządów miejscowych i w sprawie stosunku ich do władzy rządowej.

---

na szczęście, miałam w domu zawsze dużo do roboty. Zdawało mi się, że życie moje potoczy się teraz inaczej... Piliśmy razem herbatę szczęśliwi i zadowoleni, jak nazajutrz po ślubie, jak niegdyś... Po obiedzie wezwano go do fabryki. Wychodząc, uściskał mnie i zalecił ostrożność. Położyłam się do łóżka, byłam osłabiona. Noszę w sobie nowe życie — przyszło mi na myśl. Dowiedziałam się o tem dopiero tego dnia. Niech-że ta nowa istota powróci mi moje szczęście!

Po szóstej przyszedł do domu. Dobry był i uprzejmy dla mnie, jak przedtem. Ukradkiem jednak spoglądać zaczął na zegar. Twarz jego wyraźnie zaczęła blednąć, w oczach co chwila pojawiał się lekki wyraz smutku. Obserwowałam go w milczeniu... Myśl moja uparcie krążyła dokoła pytania: wyjdzie dzisiaj, czy nie?... Patrzył na zegar. Widocznie wahał się i był rozdrażniony. Gdy zegar wybił ósmą, wstał i znów usiadł. Przy każdym ruchu jego zamierało serce moje; czekałam .. Nagle otwarły się drzwi z hałasem. Weszło kilku robotników z jego fabryki. „Chodźmy, już czas" — zwrócili się do niego, „przecież już po ósmej". „Drogi — szepnęłam — odchodzisz?" Przy obcych nie mogłam mówić. „Muszę" — błagał—„dzisiaj muszę iść, czekają na mnie". Na twarzy jego, tak zawsze spokojnej i stanowczej, odbił się wyraz dziwnego cierpienia; męczył się, wahał. „Hanno, Hanusiu", bądź spokojna, wrócę dzisiaj wcześnie, za dwie godziny: muszę iść, muszę pokazać się chociażby!" Odwróciłam się i milczałam. Nie chciało mi się mówić. Poczułam się nagle bezsilną i chorą. Wzruszyło go to. „Chora jest—rzekł, jakby tłomacząc się przed tymi ludźmi. „Nie mogę jej zostawić samej". Nie mógł się zdecydować, co robić, biegał po pokoju, szukał czegoś, wreszcie ubrał się, zapomniawszy o czapce, „Hanno—połóż się lepiej do łóżka. Wrócę zaraz, Hanno, punktualnie o dziesiątej będę w domu!" Nic nie odpowiedziałam. Zatrzasnęły się za nim głośno drzwi. Siedziałam długo nieruchomie. Nie miałam sił do robienia tego wszystkiego, co innych nocy. Czułam się złamaną i zwyciężoną: więc mimo wszystko odszedł ode mnie! Uwierzyłam jego przyrzeczeniu, że wróci wcześnie, nigdy nie kłamał. Mimo to coś mi mówiło, że nie wróci. Czekałam jednak. Wybiła druga, a jego jeszcze nie było. Wybiła trzecia i czwarta, a jego niema. Leżałam z szeroko rozwartemi oczyma, wpatrzona w ciemności nocne, nieprzejrzane i ponure, jak życie moje. Syreny już przejęczały, a jego wciąż jeszcze niema. Już dzień. Co się z nim stało? O ósmej zapukały do mnie żony niektórych robotników. „Gdzie mężowie nasi?" — pytały — wczoraj poszli z twoim, a dzisiaj żaden jeszcze nie wrócił. Co zrobił mąż mój z ich małemi dziećmi?! Dlaczego pozbawił je jedynych żywicieli?" Milczałam. Długo płakały i wyrzekały kobiety. Zaczęłam wybierać się do miasta, aby tam dowiedzieć się czegoś. Po wyjściu kobiet spostrzegłam idącego ku domowi młodego człowieka. W kilku słowach objaśnił mnie, że wczoraj wieczorem Jakób mój, a także kilku jeszcze robotników z jego fabryki aresztowani zostali na zebraniu... A więc straszne zwierzę, którego tak się lękałam, przyszło wreszcie! Niema go!... „Tymczasem zaprowadzili ich do cyrkułu" — powiedział ów młody człowiek: „możliwe, że wkrótce ich wypuszczą, nie znaleziono u nich nic nielegalnego, przyłapano tylko wielkie zebranie, na którem ktoś miał mowę. Mówcę—był nim mój mąż—potrzymają może dłużej, pozostałych wkrótce, zdaje się, wypuszczą". Młody człowiek poszedł... Całe nasze przedmieście z olbrzymią fabryką, z lasem kominów, ze wszystkimi budynkami, wszyscy w nich ludzie przestali dla mnie istnieć, nie było między nimi mojego Jakóba!... Poszłam do miasta. Probowałam wszystkiego: zaklęć, próśb, pieniędzy, byleby mi pozwolono chociaż przez okno, chociażby przez szparkę we drzwiach popatrzeć na niego. Nie chciano mnie nawet dopuścić blizko do gmachu. Zdawało mi się, że całe wieki już nie widziałam go! Cały dzień warowałam koło cyrkułu. Stałam jak pies, czekający nieodstępnie na swojego pana. Późno wieczorem dopiero poszłam stamtąd do matki. W domu jej przeraziła

List wiedeński

Odbył się pogrzeb, odbyła się już i stypa. Pogrzeb naprędce, prawie że improwizowany, coś w rodzaju spiesznego przysypania ziemią, bez smutku, bez łez i w dodatku z kazaniem, zakrawającem na humoreskę. Za to stypa była wspaniała, starannie przygotowana, obfita, długa, a goście rozeszli się syci i napojeni, z pochwałą na ustach, naturalnie nie dla nieboszczyka, lecz dla hojnego domu, w którym ich tak dobrze przyjęto. Umarł ostatni stanowy parlament austryacki, a stypą był raut polityczny w sam dzień jego śmierci u prezesa ministrów, barona Becka. Wdzialiśmy nową, niesplamioną jeszcze niczem konstytucyę bez żadnej ceremonii, jak się wdziewa świeżą koszulę. Dlaczego właściwie ostatnie posiedzenie kuryalnego parlamentu nie odbyło się w formach solennych, o czem dość długo mówiono, trudno dociec. Dość, że nie było mowy cesarskiej, ani nawet cesarskiego orędzia; do kilkogodzinnego posiedzenia, na którem spiesznie załatwiono jeszcze kilku, czy tam kilkanaście ustaw, prezes izby, hrabia Vetter von der Lilie przyczepił półgodzinną mowę pożegnalną, a poseł Kathrein krótsze jeszcze podziękowanie dla wszystkich, nawet dla służących i listowych, ani słowa zaś dla prasy. No i było po wszystkiem. Prawda, zapomniałem jeszcze! Przecie ta mowa pożegnalna prezesa miała i treść, o której warto wspomnieć chyba dlatego, że nazwałem ją przedtem kazaniem, zakrawającem na humoreskę. Czy był umyślny efekt, którym chciał pokryć wzruszenie—choć go wcale nie było—czy tylko przypadkowy—dość, iż mowa ta pobudziła izbę do szczerej wesołości.

Wesołość zawitała, kiedy po wyliczeniu długiego szeregu prac, załatwionych przez ten ostatni parlament stanowy, hrabia Vetter począł mówić o reformie wyborczej a raczej o nowym parlamencie, który wyjdzie z wyborów wedle nowej ustawy. „Mając 516 członków, nowa izba będzie trzecią w rzędzie najsilniejszych reprezentacyj ludowych nietylko w Europie, lecz na całym świecie". Czy hrabia Vetter użył z umysłu wyrazu dwuznacznego „drittstarkste" zamiast „drittzalreichste" Volksvertretung — kto tam wie? Raczej należy przypuścić, że temu prezesowi, który nim został, dlatego że każdy parlament musi mieć prezesa, gdy pisał swą mowę i wypowiadał ją, siląc się nie przekroczyć trzydziestu minut, dwuznacznik ironizujący wysunął się tylko przez niebaczność. Lecz podchwytując go i witając śmiechem, izba obróciła w spak znany frazes niemiecki i śmiała się już z góry ze swych spadkobierców! A potem śmiała się sama z siebie. Bo, rekapitulując dalej czynności ostatniego parlamentu kuryalnego, hrabia Vetter z niewzruszoną powagą wytrawnego komika mówił o obfitej w plon inicyatywie tej kadencyi, a wliczył do tej inicyatywy 600 wniosków naglących z powodu klęsk elementarnych, 1600 wniosków zwykłych, 11,000 interpelacyj! Nie zapomniał dodać, że w ciągu sześciu lat swego życia parlament ten wydał dwa razy tyle interpelacyj co w ciągu czterdziestu lat życia konstytucyjnego, które go poprzedziły. Risum teneatis amici.. Parlament zrodzony z obstrukcyi, któremu przepowiadano, że sam zginie na obstrukcyę, który do ostatniej chwili tak był zawalony pozostałościami obstrukcyi, że tylko w drodze wniosków naglących najdrobniejszą sprawę można było załatwić, niedołężna i bezsilna izba, która dopiero pod nadzwyczajnym naciskiem zdobyła się na podpisanie wyroku własnej swej zagłady, odbiera takie pochwały. Nikt ich naturalnie nie mógł wziąć na seryo, każdą z tych cyfr witano wybuchem śmiechu, a sam prezes dyskretnie zaznaczył, że mówił z świadomą ironią. Bo, parodyjąc z lekka styl ekonomistów tutejszych, zauważył, że w ostatnich latach mieliśmy coś niby najwyższą konjunkturę inicyatywy parlamentarnej.

Dwa były poważne punkty tego kazania na pogrzebie parlamentu stanowego. „O wszystkiem radziliśmy, tylko nie o porządku dziennym". Temi słowami scharakteryzował hrabia Vetter skutki, które pociąga za sobą regulamin obrad parlamentarnych. Izba nie chciała się zgodzić na reformę tego regulaminu, bo żadna z większych frakcyj parlamentarnych nie chciała zrezygnować z broni obstrukcyi, opierającej się na przepisach tego regulaminu. I dzieje się rzecz arcydziwna: hrabia Vetter, mówiąc o konieczności wydania nowego regulaminu, której nowy parlament ujść nie zdoła, wygłasza zasadę, którą każdy niemiec-liberał dotychczas gotów był potępić jako herezyę polityczną. Należy obostrzyć regulamin izby, celem zapobieżenia obstrukcyi. Lecz należy wprowadzić do konstytucyi veto mniejszości, by większość nie mogła gwałcić mniejszości. Czy to nie polskie liberum veto? Ja, Bauer, das ist was anderes — odpowie natychmiast każdy Niemiec. Na pozór takie veto mniejszości mogłoby wydawać się szczytem sprawiedliwości politycznej. Lecz w rzeczywistości w Austryi posłużyłoby tylko do tego, żeby Niemcy pomimo sprawiedliwszego rozdziału mandatów de facto pozostali raz nazawsze wobec słowiańskiej większości mniejszością rządzącą za pomocą tego veto. Mając silnie scentralizowany rząd o skłonnościach bądź co bądź przeważnie niemieckich, nie obawialiby się oni takich skutków swego liberum veto, jak na sejmach polskich. Skwapliwość, z jaką pisma tutejsze pochwalają ten pomysł wyrazowy w mowie hrabiego Vettera, nasuwa podejrzenie, że w nowym parlamencie Niemcy zwrócą swe starania w tym kierunku.

Drugą poważną myślą, wyrażoną w mowie prezesa, było życzenie, ażeby nowy parlament był silnym, poważanym w kraju i poza krajem, reprezentacyą ludów austryackich, która potęgą i wpływem dorównywałaby co najmniej reprezentacyi drugiej połowy monarchii. A więc pium desiderium zwracające się wprost przeciw Węgrom, których parlament niedawno dopiero odniósł tak znaczne na pozór zwycięztwo nad koroną. Nie będzie chyba w izbie, której oczekujemy, ani jednego członka, któryby nie podzielał tego życzenia. I zachodzi jedno tylko pytanie, czy silny parlament austryacki, któryby ważył oprzeć się nadto wygórowanym pretensyom madjarskim, znajdzie rzeczywiście należyte poparcie tak posłów niemieckich, jak drugiego czynnika decydującego w życiu konstytucyjnem — korony. Jeśli na przyszłość Niemcy w Austryi i korona nie będą lękać się pogróżek madjarskich, jeśli Austrya stanie silnie przy swojem równem prawie stanowienia o losach całej monarchii, wespół z Węgrami, a nie tylko wedle

---

wszystkich wieść o aresztowaniu mojego męża. Dziecina moja ucieszyła się mną bardzo, dreptała wciąż koło mnie, a ja nawet nie widziałam jej, nie widziałam nic dokoła siebie, nic nie słyszałam. Matka opowiadała potem, że tego wieczoru zauważyła we mnie wyraźne objawy obłędu, to samo zauważyli i inni, tak np. zamiast nalać sobie zupy na talerz, czerpałam łyżką z pustego talerza, pięć razy co najmniej tego wieczora wstawałam od stołu, dochodziłam do drzwi i znów powracałam na swoje miejsce; wreszcie, kiedy rozebrana już zupełnie, leżałam w łóżku, nagle wstałam, ubrałam się i wyszłam. Pobiegłam do ponurego domu, do szarej bramy, za którą siedział pod kluczem mój mąż. Długo chodziłam po chodniku tam i z powrotem, aż nareszcie ktoś zaczepił mnie, wówczas goniona, bez sił, bez duszy, ledwie żywa dostałam się do domu mojej matki. Przed drzwiami czekała już na mnie córka ojczyma, strasznie wylękniona, gdy znalazła łóżko moje pustem.

Przeczuwałam długą męczarnię. Zaledwie dzień jeden niema go! Ile jeszcze czeka mnie takich dni, takich nocy! Życie odeszło ode mnie, przechodziło obok mnie, jak niepotrzebna rzecz plątało się u nóg moich. Przeczuwałam długie godziny i dni, zbyteczne, zimne, puste...

Krewni uważali, że jestem chora. Czyż bowiem człowiek zdrowy mógł o wszystkiem na świecie zapomnieć i tylko bez końca powtarzać: „Jakóbie, drogi, mój jedyny!" Nazajutrz przyjęto dla niego obiad, który ugotowała matka; byłam szczęśliwa, lecz nie na długo: myśl, że jest zamknięty, że nie mogę go widzieć, paliła mi mózg. Na trzeci dzień, gdy znów wybierałam się do cyrkułu, przyszedł ten sam nieznajomy młodzieniec i powiedział, że Jakób już wolny, że jest w domu, na przedmieściu i czeka na mnie. Jaka radość, jaki zamęt zapełnił dom mojej matki! Wszyscy krzyczeli, wszyscy coś mówili, ale nikt nikogo nie słuchał. Biegłam do wszystkich drzwi, uderzałam się o każde krzesło, wciąż nie mogąc trafić, wpakowałam na siebie wielkie niedźwiedzie ojczyma i w żaden sposób nie umiałam z nich wyleźć. Ktoś wreszcie otulił mnie, posadził do sani i razem z matką oraz przyrodnią siostrą pojechaliśmy na przedmieście. Mąż mój leżał na sofie otoczony robotnikami. Był bardzo blady, oczy miał czerwone. Był widocznie mocno zmęczony. Odrazu odżyłam na jego widok; ożywcze ciepło jakieś rozlało się po całem mojem ciele. Rzuciłam się ku niemu. Nikogo nie widziałam, całowałam go, pieściłam, płakałam i mówiłam: znów jesteś ze mną, znów jesteś moim, jedyny! Teraz już nie odejdziesz, zostaniesz ze mną! On w odpowiedzi na moje pieszczoty uśmiechał się, wypytywał o moje zdrowie, zauważył, że jestem blada i rozdrażniona. Prosiłam wszystkich, ażeby się rozeszli i przyszli lepiej innym razem: trzeba mu pozwolić przyjść do siebie. Sama zakrzątnęłam się, aby go urządzić jak najwygodniej. Napaliłam w piecu, gotowałam, smażyłam... Nie uleżał długo. Usiadł przy stole, zaczął przerzucać papiery, pisać i czytać. Był czemś mocno wzburzony. Udawałam, że nic nie widzę. Zadowolona byłam, że jest w domu i więcej niczego nie pragnęłam. Tego dnia wyszedł tylko na kilka godzin do fabryki. Zjedliśmy razem obiad, razem wypiliśmy herbatę. Zapadł wieczór. Wskazówka zbliżała się do ósmej. Oboje zaczęliśmy niepokoić się: on jak zawsze, jak codziennie, a ja... ja pełna byłam lęku o nowy mój pomysł: zamknęłam drzwi i schowałam klucz daleko. Trudno mi było usiedzieć, położyłam się do łóżka. Bragnęłam usnąć, stracić przytomność, zesztywnieć, byleby przebyć już chwilę, w której przekona się, że jest zamknięty. Osiem... osiem fatalnych uderzeń... Słyszałam, jak włożył palto, wziął coś ze stołu i doszedł do drzwi; słyszałam jak wstrząsał niemi i pchał je, nie rozumiejąc długo, co się stało. Wreszcie zrozumiał widocznie, że drzwi są zamknięte... (d. c. n.)

wyłącznego widzimisię madjarskiego, jak to dotychczas bywało, nie ulega żadnej wątpliwości, że nadejdzie koniec hegemonii madjarskiej w sprawach wspólnych, tak samo jak reforma wyborcza położyła koniec niemieckiej hegemonii w tej połowie państwa. Nie obejdzie się wtedy bez walki. Lecz sami Madjarowie wiedzą, gdzie w tej walce będzie słaba strona ich na pozór tak politycznie silnej pozycyi. Nigdy w krajach przedstawicielskich Niemcy nie mogli i nie umieli stworzyć sobie podobnej, mimo liczebnej mniejszości, przewagi parlamentarnej, jak naród madjarski. W chwili wprowadzenia konstytucyi stosunki społeczne ludów austryackich nie dawały już Niemcom nadziei zupełnego pozbawienia ich praw politycznych. Madjarzy natomiast, mydląc światu całemu oczy swym niby liberalizmem, dając Kroatom pewną autonomię, wyzyskali braki społeczne innych narodów, zamieszkujących kraje korony węgierskiej, i milionom ludności niemadjarskiej dali zaledwie możność pozyskania kilkunastu mandatów. Dziś narody niemadjarskie doszły do świadomości tej krzywdy. Nie podlega żadnej wątpliwości, że na Węgrzech nadchodzi epoka walk o wyzwolenie tych narodów od hegemonii madjarskiej, walka, która nie może skończyć się inaczej, niż klęską ostateczną Madjarów. Nie warto nawet przypuszczać, że ruch antimadjarski szukać będzie w Austryi podniety i poparcia. Sam fakt reformy wyborczej nie pozostanie bez wpływu na Węgrzech. I choć przywódcy madjarscy noszą się z myślą sfałszowania ogólnego prawa wyborczego, nacisk stosunków społecznych złamie w końcu rasowy parlament madjarski, jak złamał austryacki klasowy. Od zręczności austryackich mężów stanu zależeć będzie, o ile zdołają wśród takich warunków wyzyskać siłę nowego parlamentu celem uzyskania a raczej odzyskania dla Austryi należnej pozycyi w monarchii.

O stypie wspomnianej na początku tego listu jeszcze słów kilka. Był nią wspaniały raut u prezesa ministrów barona Becka w pałacu ministeryalnym przy Herrengasse. Zaproszono prawie 2000 osób, przyszło więcej niż tysiąc. Znawcy bufetów twierdzą, że przyjęcie kosztowało do 15,000 koron. Żadne stronnictwo polityczne nie usunęło się od udziału w tej fecie. Gdyby nazajutrz baron Beck stawał w pierwszej wiedeńskiej dzielnicy jako kandydat do rady państwa, pewno byłby przeszedł znaczną większością. Tak go chwaliła liberalna prasa wiedeńska za ten raut, a może też zato, że baron Beck wobec prasy odstąpił od starej tradycyi ministrów austryackich. Tradycyą było, że przy podobnych okazyach ministeryalnych, zapraszano jednego lub dwóch przedstawicieli dziennikarstwa, ile możności jak najgorzej wybranych w czasach, kiedy prasie wiedeńskiej nie brakowało prawdziwych talentów. Dziś talent jest rzadkością, lecz baron Beck zaprosił niezwykle licznie dziennikarzy, po kilku z każdej gazety. Odwdzięczono się całemi stronnicami opisów pałacu, rautu, spisem nazwisk, no i, naturalnie, pochwałami dla gospodarza. Wogóle przyjaźń między tym prezesem ministrów a prasą liberalną nadzwyczajna. Stronnictwo liberalne natomiast postanowiło wystawić przeciw baronowi Beckowi kandydata; bo uważa ono Becka za klerykała czystej wody i nie przebaczy mu ugody z wiedeńską partyą antisemicką w walce o ten mandat. Na razie właściwie są to jedyne zajmujące wiadomości o ruchu przedwyborczym. Ale że wybory dopiero w maju, więc dość jeszcze czasu dla agitacyi.

Węgierski minister sprawiedliwości, Geza Polonyi ustąpił ze swego stanowiska, którego nigdy nie był powinien zajmować. Nie dlatego że polityczne życie na Węgrzech wyrobiło tyle nieskazitelnych charakterów, między które Polonyi nie powinien był się pchać, lecz dlatego, że mimo panującej na Węgrzech z dawien dawna korupcyi politycznej na wielką skalę, dotychczas jeszcze żaden z agentów tej korupcyi nie ważył się jawnie ująć steru władzy, jak to uczynił Polonyi. Tego nawet Madjarom było za wiele, i Polonyi padł wskutek politycznego skandalu, jakiego już dawno w całej Europie nie było. Opinia, którą Madjarzy umieli sobie zaskarbić w Europie, pierwszy raz podległa bliższemu badaniu. I w samej Austryi, dzięki mylnej informacyi prasy pseudo-liberalnej, mało jest ludzi, oceniających stosunki węgierskie z zupełną bezstronnością. Podziwiano tu siłę liberalizmu węgierskiego, a nie wiedziano, że nawet dla samych Madjarów liberalizm ten jest blagą, a dla ludów niemadjarskich wprost spętaniem wszelkiego rozwoju, gorszem nawet niż to, co się dzieje w Poznańskiem. Dziś powoli, bo zawsze jeszcze nie drogą poczytnych dzienników, lecz przeważnie za pomocą książek, znajomość urządzeń politycznych na Węgrzech zaczyna się szerzyć w Austryi, a co Madjarom może mniej jeszcze miłe, także zagranicą. Skandal ostatni pobudził wielu do rozmyślań nad państwem, w którem polityka składa się z wykrętów adwokackich i rabunków huzarskich, a tradycya polityczna opiera się na fałszach historycznych. I co najgorzej: ułatwiając Polonyi'emu powrót w szeregi, w których przestaje tylko być oficerem, Madjarzy pokazują światu, że choć zmieniła się osoba ministra sprawiedliwości, sam system korupcyi pozostał. Nawet wydalenie baronowej Schonbergerowej z Budapesztu już chyba nie przekona nikogo, że Madjarom idzie o więcej niż proste „uratowanie twarzy". Polonyi, czy nie Polonyi — system pozostaje, jaki był.

Interim.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Jak wiadomo, Clemenceau zabronił manifestacyi, zamierzonej przez robotników paryskich na rzecz prawa o odpoczynku niedzielnym. Z powodu tego zakazu deputowany socyalistyczny, Vaillant, interpelował ministeryum, twierdząc, że w ten sposób pogwałcono prawa o zebraniach, że manifestacye odbywają się bez przeszkód w Anglii, Belgii, a nawet w Austryi, gdzie dzięki im właśnie odniosło zwycięstwo prawo powszechnego głosowania. W końcu interpelacyi Vaillant proponuje wyrażenie rządowi nagany. Na to odpowiedział Clemenceau: „Nie jestem bynajmniej przekonany, że istnieje prawo wolności manifestacyj. Ulica należy do wszystkich, a jedną z największych radości odpoczynku niedzielnego jest właśnie prawo spokojnego przechadzania się po bulwarach. Zabezpieczając ten spokój, zabezpieczyłem jedną z form odpoczynku niedzielnego. Smutną to jest rzeczą, gdy trzeba uciekać się do siły, ażeby utrzymać porządek, i ze swojej strony uczyniłem to z żalem. Dużo jeszcze należy oczekiwać od wychowania demokracyi. Utrzymują, że należało dozwolić na manifestacye, w celu kształcenia mas, bo ludzie uczą się pływać, rzucając się do wody. Prawda! Ale nigdy, wrzucając do wody innych. Gdy prawo o spoczynku niedzielnym zaczyna być już stosowane, gdy pracodawcy, z początku niechętnie usposobieni, zaczynają kapitulować, gdy robotnicy widzą powszechnie, że sąd kasacyjny przyznaje im słuszność, jest rzeczą zniechęcającą patrzeć na przygotowywanie manifestacyj z prawdopodobieństwem gwałtów". Wniosek Vaillanta odrzucono; większością 444 przeciw 59 głosów przyjęto aprobatę oświadczenia rządowego.

Syndykat nauczycieli Rodanu przyłączył się do giełdy pracy. Wywołało to zaburzenia poważne. Minister oświaty, Briand, zażądał od swoich urzędników, ażeby cofnęli to przystąpienie, grożąc w przeciwnym razie karami dyscyplinarnemi. Wówczas inne syndykaty nauczycielskie zaprotestowały energicznie przeciwko rozporządzeniu ministra i postanowiły również przyłączyć się do giełdy pracy, twierdząc, że nauczyciele są pracownikami i zarobkującymi, że nie powinni się odłączać od świata pracowników, powinni iść w zgodzie z klasą robotniczą, której sprawy reguluje giełda pracy, i w akcyi wspólnej dążyć do wyzwolenia proletaryatu. Postanowiono również zakładać wszędzie nowe syndykaty nauczycielskie i uzyskać od parlamentu aprobatę sytuacyi faktycznej, wytworzonej przez samo życie.

Izba francuska uchwaliła ważne reformy, dotyczące postępowania z obłąkanymi. Wkrótce senat przystąpi do rozpraw nad tą kwestyą. Występuje tu na pierwszy plan pomieszczanie obłąkanych w rodzinach i zatrudnianie ich koło roli.

Na ostatniem posiedzeniu Izby deputowanych wiedeńskiej rady państwa minister skarbu wyjaśnił, że uchwalone w delegacyach kredyty na uzbrojenie muszą być zaspokojone przez pożyczkę państwową w wysokości 141,8 milionów koron.

Ogłoszono sankcyonowane przez cesarza prawo o reformie wyborczej oraz reskrypt o rozwiązaniu Izby deputowanych.

W Niemczech w wyborach ściślejszych socyaliści ponieśli nową klęskę. Ogółem utracili oni 25 mandatów.

Polski centralny komitet wyborczy w Poznaniu wydał następujące hasło wyborcze dla całych Prus na wybory ściślejsze: gdzie centrum uczestniczy w wyborach ściślejszych, z kandydatem partyj mieszczańskich lub z socyalnym demokratą—głosować za centrowcem; gdzie socyalny demokrata uczestniczy z kandytami mieszczańskimi—głosować za socyalnym demokratą. Gdzie wolnomyślni i narodowo-liberalni albo konserwatywni ubiegają się o mandat — głosować za wolnomyślnym.

Pisma berlińskie donoszą, że ks. biskup Litkowski zwrócił się z poufnym okólnikiem do dziekanów dyecezyi poznańskiej, w którym wzywa ich, aby wobec strajku szkolnego *zachowali się biernie*, bo tego życzy sobie papież.

Parlament szwedzki wprowadza reformę wyborczą na porządek dzienny. W Szwecyi zaledwie dziesiąta część ludności bierze udział w życiu konstytucyjnem kraju. Od lat kilkudziesięciu kwestya reformy jest na porządku dziennym.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Z pod pięści pruskiej.

Dwie sprawy wypełniają dziś szpalty pism i treść życia krajów polskich pod Prusakiem: wybory i strajk dzieci polskich. Rząd Pruski z namaszczeniem i uroczystością zapewnia przy każdej sposobności, że z raz obranej drogi nie zejdzie, że będzie umiał zachować *jednolitość* szkoły pruskiej. Walka najpotężniejszego na kontynencie europejskim państwa z bezbronnem dzieckiem polskiem czyni dziwne wrażenie na tle kłamnego humanizmu XX wieku, na tle oficyalnie uznanej konstytucyjności państwowej, zapewniającej jakieś —w teoryi—prawa człowieka i obywatela. Rząd pruski stosuje jedynie prawa pięści i stosuje je zarówno wobec opierających się

dzieci, jak wobec rodziców, gmin, prasy i wszystkich tych jednostek, które bądź bezpośrednio, bądź pośrednio w walce tej biorą udział. Dla dzieci—chłosta, areszt, przesiedlania z wyższych oddziałów do niższych, z bliższych szkół do dalszych, tworzenie rot aresztanckich z nakazem chodzenia podczas pauzy sposobem więziennym, kołem, z założonemi w tył rękami, zatrzymywanie w szkole ponad rok 14, nękanie ciągłemi rewizyami, spisywaniem protokółów i t. p. Dla rodziców—kary pieniężne i więzienia, kary administracyjne, skazujące starych gospodarzy na wartowanie przed szkołą o chłodzie i głodzie, pozbawienie praw rodzicielskich przez ustanawianie osobnych opiekunów, odbieranie dzieci dla przymusowego wychowywania w domach poprawy, utrata służby, zarobku i t. d. W gminach szkolnych odbiera się ojcom polskim urzędy dozorców szkolnych, zmusza do budowy nowych szkół, ustanawia nowych nauczycieli, odbiera zapomogi państwowe, podnosi podatki szkolne o kilkaset procent. Sołtysów polskich składa się z urzędu, nasyłając na ich miejsce na koszt gminy urzędników państwowych z wysokiemi dyetami; właścicielom rolnym zakazuje się zatrudniania opornych dzieci; prasę ściga się setkami procesów; cały zastęp inteligencyi i duchowieństwa szczuje się i zagryza sforą prokuratorów. Co tylko na tej drodze bezprawie obmyśleć a siła wykonać zdoła, wykonywane jest i będzie wykonywane. A przecież pomimo tylu i tak boleśnie odczuwanych ciosów--oporu dzieci i rodziców nie złamano. Strajk trwa przeszło pół roku i nie okazuje znamion osłabienia. W narodzie polskim obudziły się natomiast przymioty, których istnienia nikt nie przeczuwał. Zapał krótkotrwały przetopił się w ogniu walki w hart męztwa, bohaterstwo chwilowe—w opór nieprzełamany. Rozbudzenie szerokiej i głębokiej świadomości narodowej i obywatelskiej jest już dorobkiem pozytywnym tej walki „niekulturalnej". Ma swój dorobek i strona przeciwna: dezorganizacyę szkoły, zrujnowanie powagi nauczycielskiej, nadwyrężenie karności i dyscypliny szkolnej.

Ważnym wypadkiem politycznym jest odezwa niewielkiej garstki polskich księży na G. Śląsku, nawołująca duchowieństwo do walki w szeregach ludu o polskość, prawa ludzkie i obywatelskie dla Polaków. Księża zaznaczają dotychczasowe obojętne stanowisko duchowieństwa polskiego wobec wysiłków uświadomionego ludu, potępiają dzisiejszy stan rzeczy i wierzą w konieczność i bliskość zwrotu w tej karygodnej polityce kościoła. „Jeżeli stosunek księży do ludu oraz ich stanowisko w sprawach publicznych i nadal pozostanie takiem, jakiem było w ostatnich trzech latach—głosi odezwa — natenczas, sądząc z przeszłości, przewidzieć łatwo, iż nowe walki nietylko nie złagodzą tego wszystkiego, nad czem bolejemy i na co słusznie się skarżymy, lecz pogorszą jeszcze niezdrowe położenie obecne. Walka bratobójcza będzie trwała dalej. W społeczeństwie katolickiem stanie się coś nienaturalnego, że sprawami ludu zajmować się będą sami świeccy, a księża skazani zostaną na bezczynność nietylko polityczną, lecz wogóle bezczynność na wszystkich polach życia społecznego. Lud polski na Śląsku ma prawo do swojej narodowości, tę narodowość zachować i pielęgnować jest jego obowiązkiem. Wszyscy ludzie dobrej woli prawo to uznają. Posłowie ludu polskiego powinni być rzecznikami jego potrzeb, słusznych żądań i życzeń. Chcąc to zadanie spełnić, muszą się poczuwać do wspólności interesów i uczuć z ludem. Ruch polski rozwijał się dotąd *bez udziału księży.* Podnoszono przeciwko niemu lub przeciwko jego gazetom zarzuty, jakoby miał on wrogie zamiary względem kościoła. Chodzi nam o obronę, o poprawienie położenia księży wobec ruchu polskiego". Jest to pierwszy zbiorowy akt polskich księży górnośląskich na rzecz polskiego ruchu narodowego, względem którego do niedawna jeszcze niejeden z podpisanych pod odezwą stał w opozycyi nieprzejednanej. Trudno wymagać, ażeby lud i jego przywódcy, mając w pamięci tyle obrazów znanej na całym świecie polityki kleru, który zawsze stoi po stronie silniejszej, a nigdy nie naraża swoich interesów w obronie pokrzywdzonych, okazali ufność i wiarę bez zastrzeżeń. Czyny księży dowiodą wartości istotnej ich słów.

Jednocześnie centrowa *Gazeta Katolicka* ogłasza odezwę wyborczą 245 księży górnośląskich na rzecz kandydatów centrowych. Zawiera ona następujący zwrot: „Księża niżej podpisani muszą was jednak także i ostrzedz, byście przy wyborach nie głosowali na kandydatów partyi polskiej, której redaktorowie zelżyli w pismach swoich biskupa, ustanowionego od Ducha św. by rządził kościołem Bożym". Jak widzimy, księża w znacznej większości swojej wciąż jeszcze spekulują na polityczną niedojrzałość najmniej oświeconych robotników i gospodarzy i w tym celu kultywują gorliwie średniowieczną i niesumienną taktykę utożsamiania spraw politycznych z kościelnemi. Szczegół charakterystyczny: *Gazeta Katolicka* nie podaje nazwisk „245" autorów odezwy, wówczas gdy autorzy wezwania poprzedniego, nawołującego duchowieństwo do zgodnej akcyi polskiej, podpisali wszyscy swoje nazwiska.

Niemieckie broszury agitacyjne, z koszlawym tekstem polskim, zawierają klasyczne ustępy, jak naprzykład: „Polscy rodzice, którzy swoje dzieci kochają, każą je porządnie po niemiecku uczyć, bo przez to zapewnią swym dzieciom dobre utrzymanie. Każdy Polak, który z sercem całem stanie po pruskiej stronie, udowodni przez to swój wspaniały sposób myślenia: *wdzięcznym być.* Pruscy Polacy są pruskiemu państwu za wyratowanie z nędzy i brutalstwa nieskończoną wdzięczność winni. Polak, który się do Niemców przyłącza, podwyższa się przez to na wyższy stopień wykształcenia i okazuje tem, że on sięga po umysłowe uszlachetnienie swej własnej osoby i dla swej familii. Każdy pruski obywatel państwa bez wyjątku pochodzenia lub wyznania powinien tylko wybierać obywateli, którzy wierni państwu są, ale nie kandydatów polskiej partyi, którzy chcą ogół nogami deptać".

Tymczasem ów wysoce szlachetny Prusak, z którym samo „połączenie się" ma zapewnić Polakowi „i całej jego familii" uszlachetnienie umysłowe, nie ustaje w troskliwych zabiegach o dobro Polaka, którego chce gwałtem zbawić. Popiera on akcyę germanizacyjną na wszystkich polach. Tak, w etacie pruskim przeznaczono milion marek na zapomogi dla niemieckich właścicieli domów w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zach. W tym celu założoną zostanie nowa instytucya, ze stałem poparciem rządu. Taka instytucya istnieje już w mniejszych rozmiarach w Gdańsku. Biblioteka cesarza Wilhelma w Poznaniu wydała sprawozdanie za czas od 1 kwietnia 1905 do 1 kwietnia 1906 roku, z którego widzimy, że we wszystkich powiatach W. Ks. Poznańskiego znajdują się już wędrowne biblioteki germanizacyjne, mianowicie w 486 miejscach; liczba książek wynosi 71,740.

Komisya kolonizacyjna kupiła w roku ubiegłym 29,600 ha. Ogółem pomnożyła się liczba mieszkańców niemieckich w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zach. skutkiem działalności komisyi kolonizacyjnej, o 96,000 głów, czyli o 2,67 procent ogólnej liczby mieszkańców tych dzielnic. W stosunku do tyloletniej działalności komisyi liczby te nie są bynajmniej imponujące. Należy przytem zaznaczyć, że Polacy za pieniądze komisyi tworzą ogniska przemysłu i handlu i w ten sposób wzmacniają żywioł słowiański w tej dziedzinie gospodarstwa państwowego, w której dotychczas jest on bardzo słaby. Przytem ilość majątków, wystawianych na sprzedaż corocznie się zmniejsza. Można powiedzieć, że komisya wykupiła już wszystkie dobra, których egzystencya z powodu nadmiernego obciążenia długami była wprost niemożliwa. Jeżeli rząd pruski nie obierze gwałtowniejszej drogi przymusu, co wobec nieznającej granic dzikości pruskiej niejest wyłączone, czynność komisyi można uważać za zakończoną. *ksz.*

Z ruchu kobiecego w Warszawie.

Hasło równouprawnienia kobiet ściągnęło do Filharmonii tłumy ludności warszawskiej, która w dobitny sposób wyrażała swoje sympatye dążeniom emancypacyjnym we wszystkich kierunkach życia i myśli, z wyjątkiem jedynie... etyki, a ściślej — dogmatyki religijnej.

Podajemy niżej echa głosów wybitniejszych, kierując się zasadą, wyrażoną przez jednego z mówców, że ważnem jest „nie *kto* mówi, lecz *co* mówi."

Zaznaczamy więc, że gdy tylko rozlegał się jakikolwiek szczerszy głos przeciwko gwałtowi, stale dokonywanemu na duszach ludzkich ze strony mniej lub więcej szczerych fakirów dekadentyzmu chrześciańskiego, wnet podnosiły głowy widma przerażone pół-świadomowej tradycyi lub całkiem świadomej dewocyi. Jeżeli ta ostatnia jest bardziej dzika niż głęboka, jeżeli niepodobna walczyć z fanatyzmem, to jednak fanatyzm sam siebie w ostatecznych konsekwencyach pierwej lub później sprowadza ad absurdum, istotny zaś środek ciężkości walki o wolności ducha leży po stronie owej łagodnej, nieuświadomionej tradycyi, wessanej z mlekiem matek, z myślą przeszłości i nastrojem otoczenia, ciążącej niewyczuwalnym a jednak ciężkim kamieniem na sercach, umysłach, poglądach ludzkich. Że ten głos przeszłości, że ta mowa umarłych silniejszą jest od logiki i uczuć żywych, dowodzi fakt, że pomimo istotnego i wielkiego postępu społeczeństw zachodnio-europejskich na polach życia ekonomicznego, społecznego, politycznego, są całe światy poglądów, całe sfery stosunków, trwające w stanie zamarcia, unieruchomienia, letargu. Do takich wszechświatowych niemal spraw, pogrążonych w śnie letargicznym, z którego niemasz środka ocknienia, należy sprawa kobieca. Połowa ludzkości pozbawiona jest praw człowieka — za śmiesznymi wprost wyjątkami: Nowej Zelandyi! Zakątków Australii! Do pewnego stopnia — Finlandyi! Gdyby — powtarzamy — nie owa zaklęta moc splecionych tradycyj, społeczeństwa o takiej wysokiej organizacyi, jak angielskie, o tak radykalnej polityce, jak francuskie, osiągając na wszystkich prawie polach życia poważne rezultaty, w miarę doskonalenia ustrojów swoich posuwałyby ku rozwiązaniu kulturalnemu i kwestyę równouprawnienia milionów niewolnic. A jednak widzimy objawy inne: parlament angielski, cierpliwie wysłuchujący najdrobniejszych petycyj swych obywateli w najbłahszych sprawach, z oburzeniem odrzuca wołania kobiet swoich o elementarne prawa wyborcze! We Francyi, jak zauważył jeden z mówców, lada kretyn, właściciel nieruchomości, przeważa na szali

praw obywatelskich panią Curie-Skłodowską.

Ruch kobiecy nie zrodził się z książek, z głów, z teoryj, ale z życia i ma w sobie życie. Rozwój ekonomiczny postępuje w kierunku uspołeczniania funkcyj gospodarczych, które z rąk kobiety przechodzą zwolna w ręce społeczeństwa, ona zaś musi szukać zarobku, ona „emancypuje się“—bo emancypuje się samo życie od dawniejszych sposobów gospodarczych. Kobieta na wsi, a także kobieta proletaryatu przez samo życie postawiona jest na równi z mężczyzną wobec pracy. Na wsi często głową domu, głową gospodarstwa jest kobieta, a mężczyzna—ręką, siłą wykonawczą.

Sprawa równouprawnienia kobiet jest jedyną ze spraw wolnościowych, na którą nie godzą się szczerze i szeroko partye postępowe i radykalne. Jest jedyną sprawą wolnościową, która jak gdyby nie była oczywista sama przez się, jak gdyby potrzebowała złożonej argumentacyi dla wyjaśnienia, złożonych dowodów dla obrony. Jeden z mówców wynalazł uniwersalnego „kozła ofiarnego,“ który jest przyczyną zła, źródłem tej mgły, zaciemniającej w umysłach ludzkości prawdę twierdzeń i słuszność dążeń emancypacyjnych w sprawie kobiecej. Ma nim być kapłan, jako symbol tradycyi i wstecznictwa. Istotnie, symbol jest wskazany trafnie, ale czy moc jego tak daleko i szeroko sięga? Kapłan staje przy każdej sprawie, przy każdem zjawisku życia ze swoim dogmatem skamieniałym i ciska ten dogmat, jak kamień, pod nogi każdego ruchu wolnomyślnego i każdej myśli, szukającej wyzwolenia. Kapłan przychodzi do dziecka i ugniata jego miękką duszę w formy fatalistyczne grzechu pierworodnego. Przychodzi do kobiety i mówi jej o uległości mężczyźnie, o posłuszeństwie i pokorze. Przychodzi do przyrodnika i mówi mu swoją skostniałą prawdę o świecie. Przychodzi do filozofa i mówi mu swoją mistyczną legendę o „tamtej stronie“. Tysiącoletni wpływ kapłanów wszelkich religij wytworzył w społeczeństwach ową ślepotę na sprawy tak jasne, jak równouprawnienie połowy rodzaju ludzkiego. Czy jednak w naturze męzkiej nie są ukryte głęboko inne jeszcze czynniki, współdziałające z tą siłą podziemną tradycyi kapłańskiej? Zbyt wielki zaszczyt przypadłby w udziale cechowi czarnemu, gdybyśmy mu mogli przypisać tak wielką moc syggestyi niewolnictwa, rozpostartą na całe zastępy ludzkości nietylko pozbawionej krytycznego sądu, ale uświadomionej i kulturalnej, nietylko zacofanej i wstecznej w dążeniach społecznych i politycznych, ale liberalnej, postępowej i nawet radykalnej, nietylko religijnej, ale i ateistycznej. Wyczerpująca analiza owych czynników zajęłaby tomy całe i powołałaby do pracy rzesze najsilniejszych umysłów ze wszystkich dziedzin wiedzy.

M.

Wiece Matek.

Głównym tematem wieców było odrodzenie młodzieży męskiej, którego inicyatywa powstała w świecie tejże młodzieży, pozyskała teoretyków i popleczników gorących wśród grona pedagogów i lekarzy i obecnie przenika w sfery szerokiego życia. Mówiono o tem, że chłopcy podrastających pokoleń powinni przejąć się wiarą w niezbędność czystości. Metody wychowawcze muszą uledz zasadniczym zmianom, a przedewszystkiem przyjąć zasadę szczerości i bezwzględnej prawdy. Niech przyrodnik nie cofa się w wykładzie przed żadną sprawą życia roślinnego, zwierzęcego, człowieczego. Nie kładąc nacisku na pewne specyalne czynności, nie podkreślając szczególnego znaczenia pewnych organów, niech mówi o kwestyi rozmnażania z taką samą prostotą i spokojem, jakie powinny cechować każdy inny wykład z dziedziny przyrody.

Podnoszono niezmierną ważność psychologii w metodach pedagogicznych. W przeciwieństwie do pedagogiki dawnej, operującej wyłącznie arsenałem nakazów kategorycznych, niwelującej charaktery; dzisiejsza szanuje indywidualność dziecka, a zna tylko jeden nakaz, względem samego pedagogu: poznać naturę ucznia i wyzyskać wszystkie jej zdolności i siły. W stosunku z nauczycielem dziecko powinno czuć zupełną swobodę. Wskazówek pedagogicznych, oprócz praktyki Zachodu, należy szukać w dziełach rodzimych pedagogów i filozofów dawniejszych. Znajdziemy tam takie sentencye: „nie obwiniaj ucznia twego o brak zdolności, o twardość mózgu; poznaj go. On jest z pewnością zdolny, tylko ty nie wiesz, do czego.“

Szkodliwy wpływ na psychikę dziecka wywiera literatura, z jakiej młode pokolenie korzysta. Na jednym półmisku podaje mu się katechizm i wiedza przyrodnicza, humanizm i historya wojen krzyżowych, etyka i przygody myśliwych lub trylogia Sienkiewicza. Należy oczyścić stajnię augiaszową biblioteki dziecięcej, dawać dzieckom dzieła czystej miłości i czystej wiedzy. Udział rodziców w pedagogice jest przeważnie wstecznego charakteru. Wypływa to poczęści z tej smutnej prawdy, że gdy hodowli bydła nie powierzy nikt w ręce nieprzygotowane, hodowlą ludzi zajmuje się, kto chce; poczęści zaś z innej, nie mniej smutnej okoliczności, że nie mając przez całe dziesiątki lat głosu w żadnych sprawach, społeczeństwo uczuło się jakby zwolnione z obowiązku myślenia o wychowaniu. W rodzinach tak zwanych inteligentnych kwestye pedagogiczne sprowadzają się do polowania na stopnie, cenzury, dyplomy, jak później w życiu — na posady i karyerę. Znaczenia wiedzy po za korzyścią praktyczną społeczeństwo nasze z nielicznymi wyjątkami jeszcze sobie nie uświadamia, jak tego udowodniły jeremiady z powodu szkół polskich prywatnych „bez praw“. Po za tem sam stosunek dzieci i rodziców jest nienormalny; te dwa pokolenia nie znają się zupełnie i nie żyją z sobą. Można powiedzieć, że dzieci nie żyją zupełnie. Życie płynie obok nich, jak świat z bajki. One żyją w świecie prawd tekturowych i blaszanych, w świecie stosunków obłudy.

Olbrzymia większość „Matek“, między którą było sporo „Ojców“, przejęta była iście katolicką nietolerancyą, która wybuchała lawą złorzeczeń straganiarskich wobec lada wolnomyślniejszego słowa. To też wiece tego rodzaju mają przedewszystkiem znaczenie wychowawcze dla starszego pokolenia, uczą je zastanawiania się nad powszechnie uznanemi prawdami pedagogicznemi, psychologicznemi i społecznemi, wyrywają je z fachowo-zarobkowych deptaków na szerszy świat myśli, a chociaż nieprzywykłych do dziennego światła rażą promienie prądów wolnomyślnych, jest to okres do przebycia konieczny, gdyż zaiste niepodobna myśleć o rozwoju społecznym w duchu postępu, o świetlanej przyszłości pokoleń następnych, dopóki nie wytworzy się pokolenie kulturalnych i oświeconych—rodziców.

Podniesiono demokratyczną sprawę oświaty szerokich mas dzieci proletaryatu i ludu. Uznano, że takie zadanie może być rozwiązane jedynie na drodze ogólno państwowej reformy, która wprowadzi nauczanie powszechne, obowiązkowe i bezpłatne.

Społeczeństwo a wielkie majątki.

Andrzej Carnegie, emerytowany twórca przemysłu hutniczego w Pittsburghu (Stany Zjednoczone), właściciel miliardowej fortuny, autor znanej książki pod tytułem „The Gospel of Wealth (Ewengelia bogactwa) publikuje w ostatnim zeszycie „Review of Reviews“ artykuł pod tytułem: „*My Partners, the People*“. Myśli pana Carnegie o roli społeczeństwa przy powstawaniu wielkich majątków nie są całkiem nowe, lecz Krezus amerykański wyraził je w formie dość niezwykłej, a oprócz tego sama osobistość autora podnosi znaczenie artykułu, z którego przytaczamy parę ustępów.

Problemat bogactwa — tak poczyna Carnegie — nie schodzi z planu. Jest ono tak nierówno rozdzielone, że uwaga cywilizowanej ludzkości musi się od czasu do czasu skierować w tę stronę. Ludzkość musi w końcu ustanowić prawa, które przyczynią się do sprawiedliwszego podziału.

Jasno i dobitnie dał wyraz uczuciom ogółu w tej sprawie prezydent Stanów Zjednoczonych w jednej w ostatnich swoich mów. Powiada on między innemi, że ludzie zajmujący się zagadnieniami dotyczącemi wielkich majątków bądźto zbiorowych, bądź to prywatnych, i ich użycia, powinni przedewszystkiem rozróżniać między majątkiem dobrze a majątkiem źle nabytym. Fortuna zyskana ubocznie przy oddawaniu wielkich usług ogółowi jest uczciwie a więc dobrze nabyta, w przeciwstawieniu do majątku zdobytego w granicach zwykłej kupieckiej uczciwości. Roosevelt dochodzi dalej do wniosku, że z czasem ustanowiony będzie tak wysoki podatek spadkowy i tak wysokie opłaty przy zmianie własności wielkich majątków, że poza pewną prawnie oznaczoną granicą wszystkie fortuny przejdą na własność rządu, a raczej narodu.

Już przed siedmnastu laty żądał Carnegie progresywnego opodatkowania majątków dziedzicznych, jako środka, którym by najlepiej i najłatwiej zapewnił ogółowi udział należny od bogactwa. Żądanie to spotkało się z wielką opozycyą z różnych stron; zarzucano autorowi, że żądanie takie oparte na zasadach socyalistycznych, raz spełnione, byłoby zabójczem dla indywidualizmu i już w zarodku zdusiłoby wszelką przedsiębiorczość. W artykule teraz pisanym zbija Carnegie te wszystkie zarzuty. Jest bowiem, jak pisze, święcie przekonanym, że indywidualizm jest podstawą postępu. „Jeżeli nie budujemy na podstawie „Jak kto sieje, tak zbiera“, — pracujemy daremnie, by stworzyć wyższą albo nawet utrzymać dotychczasową kulturę. Cnota zawsze odbiera winną nagrodę, złe — karę, praca — płacę, a lenistwo—nędzę. Energia i rozum muszą otrzymać nagrodę, której nie uzyska indolencya ani ignorancya. Kto wiatr sieje, wicher zbiera“.

Prawo prywatnej własności — przypomina Carnegie — wyłoniło się powoli z czasów, w których własność była wspólną; z postępem cywilizacyi ludzie stawali się mniej komunistyczni, a więcej indywidualni. Poczucie ogółu podtrzymywało prywatną własność jako korzystną, a potępiało komunizm jako szkodliwy dla postępu, nie ma jednak nic uświęconego w prawie prywatnej własności oprócz tego, że ludzkość ustanowiła je jako najlepszy warunek dla rozwoju. Nie ma więc obawy by ludzkość zwróciła się i cofnęła znów w barbarzyństwo, z którego ostatecznie wyszła. Prawo ewolucyi nie pozwala na to, gdyż człowiek idzie naprzód. Gdy więc zajdzie za daleko w zbieraniu majątków, bezprzecznie zwróci swoją czynność w przeciwnym kierunku, w kierunku działalności dla dobra ogółu.

Zwrot ten według autora nastąpi przy usprawiedliwionem opodatkowaniu wielkich majątków przy śmierci ich właścicieli. Sprawiedliwość tego opodatkowania ilustruje autor dobrze dobranymi przykładami. „Dajmy na to, pisze, farmer jakiś, które całe życie ciężko i uczciwie pracował, dorobił się na tyle majątku, że może każdemu ze swoich dwóch synów dać farmę w posiadanie. Ponieważ obie farmy są w równie dobrym stanie, losują bracia, którą z nich każdy ma otrzymać, starszemu dostaje się farma po za rzeką Harlem, młodszy obejmuje posiadłość leżącą na wyspie Manhattan. Obaj bracia są równie pracowici i obaj starają się utrzymać ziemię w jak najlepszym stanie, obaj są uczciwymi i dobrymi obywatelami państwa. Jednakże wskutek wzrostu Nowego Yorku ku północy, ziemia na wyspie Manhattan idzie znacznie w górę, i dzieci młodszego brata, budując domy na swoim gruncie, który stał się częścią wielkiego miasta, dochodzą do milionowych majątków, podczas gdy starszy brat i jego potomstwo muszą ciężko pracować, by utrzymać się w średnim dobrobycie. Wzrost nadzwyczajny majątku młodszego brata, dokonał się całkiem bez jego zasługi. Ogół i zwiększająca się ludność wielkomiejska stworzyły jego fortunę". Carnegie, który tu zresztą opowiada nam prawdziwą historyę milionowej fortuny rodziny Astor, zapytuje, czy nie jest usprawiedliwionem, by państwo i ogół, które stworzyły ten majątek, miały w nim udział; Ponieważ jednak niezawsze tworzenie majątków udaje się bez sprytu i zręczności indywidualnej, niesłusznem byłoby przeszkadzać pracującej pszczole; „Lepiej pozwolić jej całe życie zbierać miód; gdy umrze, naród powinien otrzymać większą część tego miodu; rzecz to uboczna, kiedy zbiór nastąpi, byleby tylko majątek wszedł do skarbu narodowego".

Omówiwszy podwyższenie cen gruntowych, które było podstawą większości majątków, daje nam Carnegie inne przykłady wzięte z historyi milionerów amerykańskich. Pięciu braci, synowie pracowitego farmera, osiadło po różnych miejscach. Jeden z nich zamieszkał w Nowym Yorku (Vanderbilt), drugi w Pittsburgh, (Carnegie) trzeci w Chicago (Armour), czwarty w Montanie (Mackey), piąty zaś (Query) także w Nowym Yorku. Opowiadając nam historye tych milionerów, z których jeden zrobił majątek jako „król stali", drugi na kolejach, trzeci na konserwach, czwarty na srebrze i miedzi, dowodzi Carnegie, że wprawdzie rzutkość ich, spryt i zrozumienie na czas sytuacyi były podstawą ich dobrobytu, jednak głównymi czynnikami są: ogół, państwo, jego rozwój, wzrastająca ludność a z nią zapotrzebowanie wyżej wspomnianych produktów. Potępia on najostrzej spekulantów giełdowych i jako przestrogę podaje historyę owego najmłodszego syna Query, który, rujnując innych, w końcu sam się zrujnował i skończył samobójstwem.

W jednym tylko wypadku odstępuje Carnegie od twierdzenia, że ogół jest zawsze głównym, cichym wspólnikiem wielkich przemysłowców. Przyznaje on wyjątkowe stanowisko wynalazcom i odkrywcom, którzy, pomimo tego, że odkrycia ich powstały przeważnie przez wzrastające potrzeby na polu techniki, przecież mają niezaprzeczenie największe zasługi osobiste. Graham Bell, Westinghouse, Edison dali za podkład majątku swój umysł twórczy i oni też stoją w oczach Carnegie wyżej od wszelkich przemysłowców, przedsiębiorców i t. d.

Jednakże majątek a raczej znaczna jego część powinna dopiero po śmierci pierwszego właściciela przechodzić na własność narodu; bo nie ulega kwestyi, że uczciwie uzbierany majątek wymaga wielkiego talentu, a człowiek, który go uzyskał, jest dla ogółu wiele wart. Zresztą ludzie zarobkujący są, w przeciwstawieniu do swoich spadkobierców, zwykle ludźmi o bardzo skromnych potrzebach, „milionerjest w ulu przemysłowym najmniej kosztowną pszczołą, jeżeli porówna się uzbieraną ilość miodu z ilością, którą zużywa".

Energicznie sprzeciwia się autor zaprowadzeniu w Ameryce podatku dochodowego. Podatek ten według niego demoralizuje, a wytworem jego jest, jak już powiedział Gladstone: „Naród kłamców". Towarzystwa akcyjne powinny pobierać na dochód państwa podatek od dywidendy, który to podatek stał się w Anglii źródłem ogromnych dochodów dla skarbu. Podatek spadkowy dla krewnych w prostej linii powinien wynosić najmniej 8%, który to procent wzrastać powinien stopniowo, w stosunku do stopnia pokrewieństwa i w stosunku do wielkości majątku. „Takie opodatkowanie wielkich majątków pogogodziłoby niejednego z nierównym podziałem bogactw, a ów milioner powinienby być szczęśliwym, że jest pożytecznym współpracownikiem ogółu i że powiększenie skarbu państwowego po jego śmierci ulży jego mniej szczęśliwym a równie ciężko pracującym współobywatelom". Człowiek bogaty powinien mieć zapewnione tylko dożywotnie używanie majątku; ponieważ majątek pochodzi głównie od ogółu, powinien być uważanym przez czasowego właściciela jako uświęcony depozyt, którym zarządza dla dobra ogółu. Rząd, który powinien myśleć tylko o tem, co dobre, a co złe dla narodu, powinien ustanowić prawo, według którego jego rzeczą byłoby rozstrzygać, czy i w jakim stopniu wolno przekazać majątek swemu spadkobiercy".

W końcu zauważa Carnegie, że Ameryka znajduje się w latach młodości i że nadejdzie czas, kiedy jej obywatele przekonają się, że pieniądz jako *cel* jest wstrętną ambicyą, że człowiek, który opiera się tylko na pieniądzach, nie znajdzie uznania w świecie Dobra i Wielkości. Intelektualnie stoi taki człowiek niżej od wykształconego zawodowca. W przyszłości umysł zapanuje nad dollarem, nad temi dwoma zaś osobiste prowadzenie się jednostki.

M. G.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Smutna drużyna.

Demokracya Narodowa, ta — jak by powiedział Słowacki — „uczynna" pani, gotowa oddać się każdemu za najmniejszy prezent lub usługę, ciągle trzyma w jednej ręce chuligańską pałkę a drugą kiwa na Żydów, ażeby padli w jej objęcia. Dotychczas skutek obu środków jest marny. Zarówno pałka, jak kiwanie ściągnęło do niej zaledwie gromadkę tchórzów, spekulantów i amatorów „narodowego" bigosu z kiełbasą, ale nawet ta garstka już w części rozleciała się, reszta zaś usiadła, patrzy sobie w oczy i płacze. A doprawdy jest czego płakać. Piąte koło u wozu bowiem lepiej rozumie swoją funkcyę, niż ta nieszczęsna drużyna. Ma ona bronić interesów żydowskich i musi „współdziałać" z komitetem antisemickim; ma pomagać do wyboru „najlepszego Polaka" i musi głosować za polskim Kruszewanem; ma działać w Warszawie a musi pozostać bezczynną, gdyż Warszawa i Łódź zostały wyłączone z pod „koncentracyi narodowej", czyli że w tych dwu miastach Demokracya Narodowa może wywoływać nawet pogromy żydowskie. Ponieważ zaś nie wszyscy podzielają gust jednego z nich, który zeszłego roku „dziękował" pogromcom, więc zobowiązałby ich każdy, kto by im poradził, co mają robić. Tutejsi Kruszewanowie smagają ich za apatyę, która im nie pozwoliła zdobyć się nawet na „odezwę do Żydów"; ale jak ci biedacy mogą „odzywać się", kiedy ze wstydu ledwie dech łapią? Oni proszą Boga tylko o to, ażeby o nich całkiem zapomniano, ażeby co prędzej zatarł się w pamięci ludzkiej fakt, że kiedyś byli „współdziałający".

Nakoniec osiągnięty.

Nareszcie cel, który wytworzył ogromne stronnictwo P. P. P., składające się ze 150 lat wieku trzech swoich członków, który wywołał „koncentracyę narodową" z „postępem i ojczyzną"—w znacznej części został osiągnięty: p. Henryk Konic wszedł do grona wyborców narodowo-demokratycznych z powiatu Mławskiego. Czy osiągniętym będzie cel jeszcze wyższy, od którego już bezpośrednio zależą losy „postępu i ojczyzny", mianowicie, czy p. H. Konic będzie wybrany jako poseł z gubernii Płockiej—nie wiemy. Kiedyś szlachta płocka wobec tej kandydatury wołała: „chyba po naszych trupach"! ale ponieważ władająca nią Demokracya Narodowa, gdyby zechciała, przeprowadziłaby jej głosami nawet Icka, zwanego „utrapieniem Pogotowia", więc jest bardzo prawdopodobnem, że przepcha męża, który umiał stworzyć i skoncentrować małe w ilości, ale za to duże w tytule stronnictwo. Bądźmy przeto spokojni. Przynajmniej ze strony powiatu Mławskiego nic nie grozi ani ojczyźnie, ani postępowi, zwłaszcza że jego delegatami są: ksiądz i świeżutki katolik.

Bilecik do p. L. Krzywickiego.

Byłeś łaskaw, żyjący sprawiedliwością mężu, na jednym z wieców wyrazić publiczną naganę *Prawdzie* za jej ostre wystąpienia przeciwko tutejszym paszkwilantom, wojującym pod znakiem Socyalnej Demokracyi. Ponieważ słuchacze tej „nagany" nie znali jej powodów i nie mogli ocenić Twojej wysokiej bezstronności, więc wyjaśniamy im, co Ciebie nie oburza a co oburza. A więc nie oburza Ciebie głoszenie w pismach socyalno-demokratycznych i na zebraniach przedwyborczych, że współpracownicy *Prawdy* są „wrogami ludu" i „rakarzami", że należy ich „bić w pysk", że nawet i tego nie warto czynić, tylko poprostu „plunąć" na nich i t. d. Taka ordynarna, plugawa napaść nie drażni wcale Twego wytwornego smaku, natomiast oburza Cię, gdy my podobne twierdzenia i wymysły nazywamy potwarzą i karczemnem łajaniem. Uważasz przytem, czcigodny mężu, za słuszne, gdy Twoi protegowani, zakryci bezimiennością, lżą nas imiennie, podczas gdy my nie probujemy wcale wyszukiwać tych zapłotnych rycerzy. Więc to na tem polega „stanowisko klasowe", które tak starannie zaznaczasz? Winszujemy badaczowi „pierwotnej kultury".

Apoteoza pięści.

W tysiącoletnich praktykach na wszelkich polach życia i myśli Kurya rzymska wykazała taką pomysłowość, że dziś trudno by jej było zadziwić świat jakąś nieznaną nikczemnością, Bywali papieże, których życiorysy możnaby pisać cytatami z kode-

ksów karnych. Bywali żywcem wyjęci z boccaciowskich kronik skandalicznych. Bywali złożeni z przepisów i arkanów giełdy. Na tronie rzymskim, na cieniach sprofanowanych poetycznego Jezusa rozpierała się kolejno ciemnota, zbrodnia, rozpusta, gwałt, handel, polityka. Przez pyszne galerye zaklętego grodu przesuwały się drobne i wielkie postacie rzezimieszków, sprzedawczyków, biczujących się łotrów, malowniczych bandytów Odrodzenia, spodlałych i nędznych dekadentów barokowych. Ze stolicy świata rozpełzało się po świecie robactwo indulgencyj, płynęły wszelkie płatne łaski i bezłatne klątwy, hasła pożogi i mordów, waśni narodowych i układów podstępnych, intryg i głaskań zdradzieckich, szły wszelkie nowiny i wieści — z wyjątkiem chyba tylko słodkiej wieści Jezusowej. W czasach najnowszych zdarzały się bulle potępieńcze dla ruchów wolnościowych, wyklinania dla ofiar męczonych, ordery dla Bismarków. Ostatnio, w żywym związku z męczeństwem dziatwy poznańskiej, pięknym kontrastem odbija na tem tle jasnej krwi dziecięcej czarny gest namiestnika chrystusowego: *Daily Telegraph* donosi, że w niedzielę, w dzień urodzin cesarza Wilhelma, papież rozkazał odprawić uroczyste *Te Deum* we wszystkich kościołach rzymskich Nie wydarzyło się dotychczas nigdy, żeby niemiecki wódz protestantów był przedmiotem nadzwyczajnego kultu katolickiego i nadzwyczajnych modłów w kościołach katolickich. Obecny Pontifex Maximus daje przykład pięknego oportunizmu.

Kobieta-reformatorka.

Dnia 30 grudnia 1906 r. zmarła na północy Anglii, w 79 roku życia, Józefina Butler, kobieta, o której jeden z jej najstarszych współpracowników profesor J. Stuart powiedział: „Świat jest inny, ponieważ ona żyła". Istotnie, w tych słowach niema żadnej przesady. Dusza czysta, podniosła a zarazem bohaterska i poświęcająca się, wszczęła ona walkę z jedną z najstraszniejszych, wiekami tradycyi uświęconych ohyd ludzkości, z prostytucyą, uprawnioną i regulowaną przez państwo. Młoda, piękna, wychowana wykwintnie, córka starożytnego rodu, żona wysoko postawionego teologa, nie wahała się Józefina Butler z świetlanej krainy szczęścia zejść na samo dno nędzy ludzkiej, ażeby ratować upadłe, zdeptane, zbrukane i zbeszczeszczone dusze sióstr swoich. Dziś, kiedy hasła walki z prostytucyą szeroko upowszechniły się w całym świecie cywilizowanym, nie możemy sobie nawet wyobrazić, jak zuchwałem i trudnem było naówczas takie zadanie, na co wobec zgorszonych filistrów narażała się ta, która śmiała się go podjąć. Oszczerstwa, pogarda, prześladowanie nie zmogły jednak tej wielkiej, mężnej, miłością ludzkości przepojonej duszy. Dla swej idei umiała ona wzbudzić zapał we wszystkich sercach szlachetnych i stworzyła cały zastęp gorących apostołów, którzy szeroko po świecie roznieśli szczytne słowa tej nowej ewangelii miłości i odrodzenia. W wielu krajach pozostawiła zmarła liczne ślady swego wpływu, gdzie przeszła, powstawał za nią czyn dobry. Garnęli się do niej ludzie, pociągnięci najpotężniejszą ze wszystkich siłą — magnetyzmem wielkiego serca, które każdy ból odczuwało, bo samo przecierpiało wiele. — „Nie płaczcie, kiedy mnie już nie będzie i nie powiadajcie, żem umarła — mówiła przed śmiercią do tych, którzy byli jej blizcy — moja dusza będzie zawsze z wami iść naprzód, zawsze naprzód".

Założycielka międzynarodowej federacyi abolicyonistów zostawiła ona godnych siebie zastępców, którzy rozpoczętą przez nią walkę dalej wieść będą — naprzód, aż do ostatecznego zwycięztwa. *ps.*

Czy mają prawo.

Rusini dopominają się o swoje prawa w sposób brutalny, dziki, barbarzyński. Należy im oddać tę sprawiedliwość. Należy oddać im również drugą sprawiedliwość, że ich ruchy polityczne i społeczne mają często dwuznaczne zabarwienie, że pozbawione są czasem wszelkich cech rozumu i dobrze pojętego interesu własnego, i z tych powodów nie mogą zlać się z polskim ruchem postępowym w Galicyi, który, bądź co bądź, jest szczery. Należy im oddać jednak i trzecią sprawiedliwość, że ich dążenia i żądania są słuszne Ale ta ostatnia sprawiedliwość tak trudna jest do urzeczywistnienia w Galicyi... Nasz rodzimy nacyonalizm wzoruje się na przykładach, czerpanych ze skarbnicy doświadczeń i z pracowni wiwisekcyjnych (czytaj: parlamentów) państw ościennych. Rozumuje on tak: elementarne prawa narodu polskiego, „powierzonego", jak mówi mistrz Sienkiewicz, „przez Opatrzność" rękom wyższej rasy germańskiej i rękom silniejszych braci słowian, są przez te ręce dławione w niemniej elementarny sposób. „Opatrzność" patrzy na to i nie grzmi. Zachowuje się ona neutralnie, a nawet pobłażliwie: nie daje wprawdzie nadziei, ale i nie odbiera; jeżeli co przyrzeka, to niekoniecznie w tym celu, ażeby wierzono, i bynajmniej nie karze za wiarę lub niewiarę: wolno być optymistą, ale wolno być i pesymistą, bo w krajach tych panuje ogólna konstytucya, a względem ludności stosowana jest czteroprzymiotnikowa formuła: powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego ucisku. A przytem — jeżeli Opatrzność podała w ręce *nasze* choćby niewielki kraik i nieznaczną garść bratniego ludu, względem którego możemy stosować metody, wyczuwane z innych stron na sobie — to dlaczego mamy odmawiać sobie owej praktyki? Przytem każdy naród, choćby najmizerniejszy, może mieć swoje posłannictwo historyczne. W nieprzewidzianych wyrokach Opatrzność, powierzając nam kraje i ludy, może przeznacza im właśnie pewne ciernie i krzyże, aby tą drogą odkupiły swe winy, a mybyśmy mieli łamać wolę najwyższą i wykrzywiać szlaki przeznaczenia w imię „niezdrowego" demokratyzmu, „nienarodowego" postępu i zasad sprawiedliwości, stanowiących u nas „obcą naleciałość"? *mw.*

BADANIA NAUKOWE

Prawa przyrody, czy maksymy przyrodników?

Ciąg dalszy.

Zasady lub maksymy, mniejsza o to czy dobrej lub złej, nie można obalić na podstawie doświadczenia, dla tej prostej przyczyny, że nie opiera się ona na doświadczeniu, a przynajmniej nie całkowicie; innemi słowy: nie można okazać jej sprzeczności z doświadczeniem, albowiem nie jest ona samem tylko streszczeniem faktów doświadczalnych, lecz zawiera pewne elementy konwencyonalne, które nadto w najważniejszych wypadkach nie są jakąś lekką domieszką do treści faktycznej, lecz owszem stanowią lwią część całej zasady. Konwencye takie (jak wszelkie inne) nie opierają się więc wprost na doświadczeniu, pomimo to jednak nie są wytworami zupełnie dowolnymi, fantastycznymi; nie są wprawdzie wyrazem doświadczenia, lecz do tworzenia ich, przekształcania, a szczególniej korzystnego doskonalenia, doświadczenie nastręcza nam okazyą. Istoty żyjące w innych niż nasze warunkach otoczenia, przy innym zupełnie biegu zjawisk, spisałyby nietylko odmienny od naszego kodeks „praw natury", lecz skleciłyby sobie również inne zasady, nietylko dla potrzeb życia powszedniego, lecz także dla celów mniej „praktycznego" przyrodoznawstwa

Z drugiej znowu strony, tak zwane prawa natury, o ile nie są czystem zestawieniem przeszłych faktów doświadczalnych, czyli krótkiemi równoważnikami zestawień tabelarycznych dokonanych konkretnie doświadczeń i obserwacyj, lecz uogólnieniem tychże do innych, przeszłych lub przyszłych czasów i do odmiennych warunków, zawierają już wprawdzie również pewne domieszki konwencyonalne, czasami nawet bardzo wyraźne. Pomimo to jednak nie posuniemy się bynajmniej tak daleko jak nowoczesny nominalista i anti — intelektualista, p. *Le Roy*, dla którego wszelkie prawa natury (oczywiście jako twierdzenia sformułowane przez człowieka) są niemal czystemi konwencyami lub nawet tautologiami, a z którym to autorem polemizuje obszernie *H. Poincare* w cennej swej książce *„La valeur de la Science"* [1]). Twierdzenie np., że spadające swobodnie ciała ważkie przebiegają drogi proporcyonalne do kwadratów z czasu, które nauka całkowicie zawdzięcza Galileuszowi, zawiera według Le Roy samą tylko definicyę spadania swobodnego: ilekroć warunek ten się nie spełni, powiem, że spadanie nie było swobodne. Zobaczymy zresztą, że uwaga ta, szczególniej w zastosowaniu do pewnych innych przykładów praw, niezupełnie jest pozbawiona racyi. Lecz Le Roy zapomina, że nie chodzi tu o samą tylko nazwę (jak np. że jakieś stworzenie skrzydlate nazywa się krukiem, i że nazwy tej mu odmówimy, skoro zbraknie mu tej lub owej cechy objętej określeniem), lecz że oprócz tego wiemy, że w takich a takich okolicznościach spadanie brył ciężkich *istotnie* bywa swobodne, z pewnem przynajmniej przybliżeniem. To zaś - powiada Poincaré — stanowi prawo, które może być prawdziwe lub błędne, lecz nie redukuje się do konwencyi.

Wspomniałem już poprzednio, że między prawem właściwem, t. j. podlegającem całkowicie kontroli doświadczalnej, a zasadą czyli maksymą zawierającą najwyraźniej pierwiastki konwencyonalne istnieje szereg przejściowy złożony z innych praw z mniejszą lub większą domieszką konwencyi lub nieomal zasad. Obecnie pragnąłbym jeszcze dodać, że w nauce istnieją nietylko współcześnie obok siebie poszczególne ogniwa takiego łańcucha, lecz że często jeden i ten sam twór naukowy przekształca się stopniowo z prawa właściwego na zasadę o drwiących z doświadczenia pierwiastkach umownych, zrazu bladych i subtelnych, następnie zaś coraz wyraźniejszych.

Poincaré, naprzykład, formułuje szemat takiego przeobrażenia w następujący sposób: Jakieś prawo pierwotnie wyrażało związek między dwoma faktami surowymi A i B; wprowadzając pośredni fakt abstrakcyjny C, mniej lub więcej fikcyjny, otrzymujemy pewien związek między A i C, który możemy uważać jako zupełnie ścisły, i ten będzie czystą *zasadą*, a oprócz tego drugi związek między C i B, który będzie

[1]) Bibliothèque de Philosophie scientifique. Paryż, u E. Flammariona. Porówn. zresztą sprawozdanie w *Przeglądzie Filozoficznym*, 1906, Zeszyt II i III, str. 268—278.

prawem podlegającem kontroli doświadczalnej (loc. cit., Rozdz. X).

W historycznym rozwoju nauki przemiana właściwych praw na zasady nie zawsze jednak na tej odbywała się drodze. (Nie wspomnę też tutaj o zarzutach, które możnaby powyższemu schematowi uczynić). Stroniąc zresztą od ogólników o wątpliwej wartości, nie pokuszę się wcale o wyrzeczenie zdania, które miałoby obejmować wszystkie lub nawet tylko najważniejsze tego rodzaju przeistoczenia.

Sądzę też, że gdybyśmy nadal chcieli omawiać zajmujący nas przedmiot w sposób ogólny, starając się obejść bez przykładów mniej lub więcej specyalnych, rzecz pozostałaby bez wszelkiej dla czytelnika korzyści.

Powyżej chciałem tylko dać szczupłą garstkę uwag ogólnych o charakterze przygotowania wstępnego, podczas gdy w samym cyklu artykułów, do których z kolei przechodzę, pragnąłbym rozważyć, z naszkicowanego poprzednio punktu widzenia, pewne powszechnie znane i używane Zasady, jakoto zasadę ciągłości, zasadę zachowania energii (którą w ostatnich czasach tak często wyprowadzano, w przepysznej nieraz szacie, na arenę filozoficzną), zasadę równości działania i przeciwdziałania i pewną przynajmniej część treści tkwiącej w zasadzie przyczynowości. Dla przeciwstawienia zasadom o dość zdecydowanym charakterze dobrze będzie omówić na samym początku kilka praw szczególnych przedewszystkiem z możliwie małą, następnie zaś z większą już domieszką pierwiastków poniekąd konwencyonalnych, t. j. nie wystawionych na zagładę ze strony doświadczenia. W wyborze przykładów będę zresztą musiał ograniczyć się do dziedziny fizyki (włącznie np. z mechaniką niebieską), pozbawiając się cennego niewątpliwie materyału, jakiego pod zajmującym nas względem mogłyby nam dostarczyć nauki biologiczne.

(D. c. n.)

Ludwik Silberstein.

LITERATURA I SZTUKA

LITERATURA SKANDYNAWSKA

Arne Garborg: **Jesus Messias**. Aschehoug et comp. Kristiania. *Hans Jaeger*: **Anarkiets Bibel**. Gyldendalske Boghandel. Nondisk Forlag. Kobenhavn. *Herman Bang*: **De uden Faedreland**. G. B. N. F. Köbenhavn.

Niby poetyckie „memento mori" rzuca Arne Garborg od czasu do czasu swoje rozpamiętywania na zgiełkliwy jesienią rynek księgarski. Poeta wśród najruchliwszego życia wielkomiejskiego poczuł nagle nieprzepartą chęć powrócenia do miejsc rodzinnych, do ustronia, w którem spędził smutne lata dzieciństwa. Zjawisko to dość pospolite, zwłaszcza u natur bardziej refleksyjnych, niż czynnych. Kiedy minie okres „młodości górnej" w którym burzy się i wznosi światy wspólnemi siłami, rodzi się zwolna świadomość osamotnienia; na drodze życia kolejno poodpadali wszyscy, z którymi nas coś łączyło, a wtedy budzi się pragnienie powrotu bodaj do miejsc tych, gdzie się było *razem*, gdzie nie było się tylko sobą lecz częścią rodziny, która weseliła się i cierpiała wspólnie. Nie małą tu zazwyczaj rolę odgrywa pewna doza samouwielbienia. Bywają ludzie, słuchający z rozczuleniem najbłahszych drobiazgów, odnoszących się do ich dzieciństwa, do łez poruszyć ich zdolna miniatura ich z dawnych lat lub widok miejsc, gdzie się bawili dziećmi, nie dlatego jedynie, że one wrosły im w serce i pamięć, lecz dlatego, że drogie im jest wszystko, co się do nich odnosi, co jest niejako częścią ich samych.

U Garborga ma ta tęsknota głębszy podkład. On pragnął czuć obok siebie kogoś swojego, bliskiego, kogo nie pytałby się o idee i poglądy, wzajem niepytany o nic, a przytem zdawało mu się, że, przyjmując kulturę miasta, popełnił pewnego rodzaju odstępstwo, zaparł się swojej braci i całej przeszłości. Osiadł więc w Knuda-hai, w ustronnej, zapadłej wioszczynie, w pobliżu kolebki swego rodu, gdzie przepiękne symfonie wygrywają mu to wiatry halne, to burzliwe morze. Wylewem tej jego tęsknoty i uwielbienia miejsc rodzinnych są prześliczne pieśni *Haugtussa*. W drugim ich tomie i w późniejszych pracach dobrowolny pustelnik rozpamiętywa przeważnie własne życie, które uznał za grzeszne.

Z czasem przestał się zatapiać sam w sobie, rozmyślania jego obejmują całą ludzkość. Świeżo wydana książka p. t. *Jesus Messias* jest właściwie zbiorem uwag i objaśnień autora, odnoszących się do Biblii, a zwłaszcza do Nowego Testamentu. Co w *Utraconym ojcu* było jeszcze tylko pragnieniem, przeczuciem, że ów ojciec przecież nie może być tak okrutnym, bezlitosnym, jak o nim głoszą, w ostatniej pracy jest już stanowczem, jasnem twierdzeniem, że Chrystus sam nigdzie nie mówi o mękach bez kresu i końca, czekających grzeszników. Naukę o wiecznych mękach piekielnych nazywa Garborg nietylko niechrześciańską, ale wprost niedorzeczną.

Rozejrzawszy się po obecnym stanie ludzkości, mimo objawów chwilowego okrucieństwa i dzikości, wróży autor lepszą przyszłość wobec większego przejmowania się zasadami prawdziwie Chrystusowemi. Rzeczywiście czasy obecne przy całej ohydzie mordów i zbrodni wykazują jednocześnie dotąd niesłychane w dziejach podniesienie się ducha humanitarnego. Nigdy jeszcze nie czyniono tak wiele dla złagodzenia doli najbiedniejszych, najciemniejszych, a czy ktoś zechce przypisać ten objaw wzmożonym wpływom nauki Chrystusa, czy wzrostowi uświadomienia moralnego ogółu, postaci rzeczy to nie zmienia. Do ideału jeszcze daleko, bez wątpienia, zwłaszcza w społeczeństwach, w których na wszystkich polach jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia; w każdym razie należy podnieść chęć dążenia do ideału.

Z kart najnowszej pracy Garborga wieje duch miłości i przebaczenia; kto wiele rozumie, przebacza wiele—kto cierpiał dużo, rozumie dużo.

Dziwnym trafem pisarze, których utwory doznały swojego czasu jednego losu, to jest potępienia Garborga *Mannfolk* (Mężczyźni) i Jaegera *Fra Christiania Bohemen* (Z bohemii Krystyanii) zeszli się tym razem znowu, jakkolwiek w życiu kroczą drogami zgoła odmiennemi. Hans Jaeger, który dotychczas w powieściach swoich, jeżeli je tak można nazwać, zajmował się wyłącznie stosunkiem obu płci do siebie, w wydanej pod koniec minionego roku *Biblii anarchizmu* (Anarkiets Bibel) zastanawia się nad sprawami społecznemi. Jak poprzednie, t. j. wyżej wspomniana i późniejsza trylogia *Syg Kaerlighed* (Chora miłość), jest i ta praca pozbawiona nietylko pięknej, ale wszelkiej formy—daje ona chaos interesujących bądź co bądź poglądów człowieka nieprzeciętnego. Bo też o autorze tym nie można nic więcej powiedzieć nad to, że jest nieprzeciętny. Gdyby nie jego wielkie środki materyalne, z małą szkodą dla ogółu pozostałyby jego poglądy, zarówno erotyczne jak społeczne, osobistą jego własnością. Przyznać jednak trzeba, że Jaeger nie ma wcale złudzeń, wie, iż setka egzemplarzy najzupełniej wystarczy dla niego i garstki wielbicieli, a jest to pan, który może sobie pozwolić na zbytek wydania książki, chociażby dla samego siebie tylko.

Obraz tęsknoty zbliżonej do tej, jaką odczuwa Garborg, dał Herman Bang w najnowszej swojej powieści p. t. *De uden Faedreland* (Ci którzy są bez ojczyzny). Bohaterem jest młody artysta muzyk, zrodzony z matki Dunki i ojca arystokraty madziarskiego. Dzieciństwo spędził w domu rodzicielskim, na jakiejś fikcyjnej wyspie przeklętej, na której nie postała noga obcego człowieka, prócz służby.

Bang w powieściach swoich często używa jednej formy, a mianowicie wprowadza nas od razu w tok spraw, poczem cofa się w przeszłość; podobnie i w ostatniej pracy przedstawia młodego bohatera w wagonie kolejowym, który przenosi go w rodzinne strony matki, dokąd pcha go niewysłowiona tęsknota do kogoś bliskiego, pokrewnego. Przed oczyma duszy zadumanego młodzieńca przesuwają się wspomnieniu dzieciństwa, matki z wieczną w sercu żałobą, wyspy ponurej, odludnej.

Gdy stanął na duńskim gruncie, artysta daje koncert który wywołuje szczery zapał. Tony, wydobywające się z pod jego smyczka, wyrażają gorącą, trawiącą tęsknotę, zmięszaną z namiętnymi wybuchami krwi madziarskiej, i przemawiają do słuchaczów, rozgrzewają ich—urządzono mu serdeczną owacyę. Na chwilę zdało mu się, że znalazł się wśród swoich—uczuł ciepło rodzinne, był szczęśliwy.

Lecz prysnął czar muzyki, a wtedy ludzie, chwilowo podnieceni, wrócili do swoich codziennych usposobień i okazało się, że bohater nie ma z nimi nic wspólnego—że nie tylko się nie rozumieją, ale — są sobie całkowicie obcy. Więc bezdomny, jak był, jedzie dalej w świat szeroki.

Myśl autora trochę niejasno się tłumaczy; niewiadomo, czy hrabia Joan Ujhazy niema ojczyzny, ponieważ matka była innego pochodzenia, niż ojciec, a żadne z rodziców nie potrafiło przelać w syna przywiązania do swego kraju, czy tez przyczyna jego poczucia bezdomności tkwi w jego własnej naturze — czy nie jest on z tych, którzy wszędzie i zawsze będą obcy, będą sami. Czyż przynależność do ojczyzny, rodziny, chroni przeważną część dzisiejszych ludzi od poczucia osamotnienia?

Duża ta powieść łączy w sobie wszystkie charakterystyczne właściwości Banga, a więc: umiejętne nadawanie życia wspomnieniom, znakomite odtwarzanie stosunków prowincyonalnych i uwypuklanie nawet najmniej wybitnych w powieści postaci. Środowisko kosmopolityczne z przewagą arystokracyi różnej narodowości scharakteryzowane dobrze i żywo, podobnie, jak w poprzedniej powieści p. t. *Mikael*, zaczerpniętej również ze świata artystycznego. Mniej szczęśliwym jest pomysł owej wyspy przeklętej—chyba, że miała ona być pojęta symbolicznie, co jednak nie bardzo licowałoby z całą powieścią.

Józefa Klemensiewiczowa.

POEZYE

Turniej betlejemski.

Blaskiem cudów Jezusowych,
Betleemska świeci grota.
Krzyżem leżą Franciszkanie:
Święty gniew sercami miota.

„Któryś źródłem jest słodyczy,
O baranku przenajświętszy —
Roznieciłeś żar miłości
W ciemniach grzesznych naszych wnętrzy.

Słodkie imię Jezusowe
Nasze serca rozpłomienia,
Z duszy nam tryskają skrzydła
Najczystszego uniesienia.

A gdy wierność nasza broni
Twej kolebki i grobowca—
Przecz że w drogę śmie nam wpełzać
Greckich stad parszywa owca?

Odszczepieńcy i kacerze,
Śliną ust plugawych bredzą,
Że zbawienia doznać może,
Kto za naszą klęczy miedzą!

O, nie dopuść, słodki Jezu,
Takiej hańby świętej sprawy,
By armeński tryk brodaty
Bódł sztandary twojej sławy!“

* * *

Wielkie gwiazdy rozwiesiła
Noc jarząca, południowa.
Jęczą wodze greckiej wiary,
Biją w niebo dzwonne słowa.

Ciemne szaty, długie brody,
Z oczu śluz żałosny ciecze,
Rozpostarte ich ramiona —
Jak w niebiosa wbite miecze.

„Pokornego ducha synów,
Głosicieli prawdy istej,
W tej godzinie ciężkiej próby
Nie opuszczaj Jezu Chryste.

Papieżniki i bluźnierce,
By urągać twojej chwale,
Przywłaszczyli naszej miedzy
U twej groty cztery cale.

Wzmóż miłością duszne twierdze,
Daj nam siły w świętej sprawie,
Glorye wielką spuść nad zdradą
Twojej czystej, prawej sławie“.

* * *

I w imieniu Jezusowem
Wre kapłański turniej święty,
Krzeszą krwawe iskry z oczu
Nieprzeparte argumenty.

Potrząsają pióropusze
Ogoniastych bród rycerze,
Gęsto już powietrzem lata
Różnobarwne włosów pierze.

Jako złotych blask pawęży
Połyskują łysin tace,
Franciszkanin wali zgóry,
Rycząc: pace, łotry, pace!

Stają pary skamieniałe,
Jak symbole trwałej zgody,
Wzajem wydrzeć rąk nie mogąc
Z kołtuniastych skrętów brody.

Ale twardy kułak wschodni,
Zaprawiony w rzeczach wiary:
Słabną mężni Franciszkanie,
Legło w boju dwie ofiary.

Ku francuskich ziem oazie
Gwardyan pilny śle telegram:
„Spieszcie wnet z pomocą bratnią,
Bo krucyatę świętą przegram!

Brońcie prawych synów Rzymu,
Jezusowe ziarna siejem!“
I zarządca konsulatu
Dąży spiesznie do Betleem.

Mamert Wikszemski.

KRONIKA

Sprawy polityczne i społeczne. Z Płocka donoszą, że urządzone przez stronnictwo postępowe zebranie przedwyborcze zostało w sposób skandaliczny zerwane. Do sali, w czasie obrad, wtargnęło przemocą kilkudziesięciu przedstawicieli partyi N.—D. i, wszcząwszy piekielny hałas, uniemożliwiło obrady.

— Główny zarząd do spraw rolnictwa organizuje komisye rolne, których ma być 19) w 22 gub. W lutym mają się odbyć w tej kwestyi nadzwyczajne zebrania ziemskie.

— Z Petersburga donoszą, że Polacy postanowili głosować na kandydatów partyi K.—D., i w tym celu wejdą w porozumienie z tem stronnictwem.

— Premier ministrów ogłosił komunikat w sprawie wyborów i stosunku rządu do przyszłej Dumy. Zapewnia on zupełną swobodę wyborów, zabrania władzom wywierania jakiegobądź nacisku. Zaznacza, że polityka rządu nie uległa żadnej zmianie; Duma powołana jest przez monarchę jako *podstawa ustroju prawodawczego* państwa i *mając prawo inicyatywy prawodawczej*, znajdzie w rządzie najszczersze dążenie do *zgodnej*, płodnej i twórczej z nią pracy. Przy obecnym burzliwym biegu życia społecznego rząd uznaje, że wielkie trudności przedstawia nieomylne przedstawienie i rozwiązywanie zagadnień, związanych ze zmianą norm prawnych i socyalnych, i widzi zarówno w krytyce swoich wniosków przez Dumę, jak w szczegółowem i krytycznem rozpatrywaniu wniosków Dumy gwarancye powodzenia sprawy reformy państwa. *Szanując w zupełności prawa Dumy* państwowej w zakresie *prawodawstwa, budżetu i interpelacyi*, rząd będzie niewzruszenie kierował się w swem postępowaniu istniejącemi prawami. Zbliżenie organów samorządu do ludności przez utworzenie gminy wszechstanowej, jako drobnej jednostki ziemskiej, przyciągnięcie większej ilości osób do pracy w instytucyach samorządu—będzie przez rząd proponowane. Rząd projektuje zasilenie funduszów ziemstw i miast przez oddanie im części dochodów skarbowych, wprowadzenie *miejscowych sędziów obieralnych*, utworzenie kapitału ziemskiego dla poprawy bytu włościan, prawa w zakresie stosunków robotniczych, szkolnych i administracyjnych.

— Rozpoczęły się w Petersburgu obrady zjazdu członków Rady Państwa.

— W Kalkucie odbył się z wielkiem powodzeniem zjazd kobiet indyjskich, poświęcony sprawom kulturalnym.

— W Uniwersytecie Krakowskim odbył się wiec akademicki w sprawie zajść na wszechnicy lwowskiej. Po burzliwym początku i po opuszczeniu sali przez warcholskie żywioły nacyonalistyczne, zebrani uchwalili, że uznają dążenia Rusinów do normalnego, kulturalnego i społecznego rozwoju swej narodowości za zupełnie słuszne i domagają się założenia ruskiego uniwersytetu we Lwowie. Walka narodu ruskiego dla uzyskania należnych mu praw jest nieunikniona i konieczną. Ostatni zaś przejaw tej walki, wywołany uporem i wrogą postawą jednej strony a rozgoryczeniem drugiej—zasługuje na ubolewanie i potępienie. Wiec zwraca się do społeczeństwa polskiego z wezwaniem, aby poparło żądanie Rusinów, i do społeczeństwa ruskiego, aby zapobiegło niewłaściwym przejawom walki, uniemożliwiającym wspólne porozumienie, do którego dążą żywioły postępowe obu narodów.

— W Poznańskiem prześladowania szkolne zaostrzają się coraz hardziej. W powiecie Strzeleckim i Witkowskim wielu sołtysów zawieszono w urzędowaniu. Profesorowi Trzcińskiemu wytoczono sprawę w gnieźnieńskiej izbie karnej. Oskarżono wielu księży, niektórych skazano na karę więzienia.

Zaburzenia i zamachy. W Odesie dokonano szeregu zamachów na władze policyjne.

— W Tyflisie, na ruchliwej ulicy, wieczorem, uprowadzono syna milionera Aramianca, ucznia gimnazyalnego. Złoczyńcy żądają olbrzymiego wykupu.

— W pobliżu Banku Handlowego na ul. Włodzimierskiej członkowie partyi P. P. S. dokonali sądu nad zawodowym bandytą, który w studenckiem przebraniu operował w różnych miejscach, podszywając się pod cele partyi. Bandytę zabito.

— W Petersburgu zabito naczelnika więzienia, Gudimę.

— W Barcelonie nastąpiło kilka wybuchów bomb, które spowodowały wielką panikę. Na najbardziej ożywionej ulicy wybuch zrujnował jeden dom doszczętnie. Redakcya gazety *Los Noticios* zniszczona. Obiegają pogłoski o zamachach anarchistycznych.

— W więzieniu politycznem w Chersonie wybuchł bunt. Jeden więzień zabity, drugi raniony.

— Dokonano śmiałego napadu na monopol przy ulicy Wroniej, ograbiono kasę i publiczność znajdującą się w sklepie.

— *Corriere d'Italia* donosi z Jerozolimy: d. 22 b. m. wieczorem w kościele betleemskim, w którym znajduje się święta grota, między Franciszkanami a armeńsko-greckimi duchownymi przyszło do sporów i bójki (z powodu kwestyi ceremoniału) w której dwaj franciszkanie odnieśli rany. Na wezwanie gwardyana przybył do Betleem zarządca konsulatu i wicekonsul francuski.

— Rozbito i ograbiono stacyę Leopoldów kolei Nadwiślańskiej.

— Dokonano napadu na st. Nałęczów, zerwano aparat telegraficzny i uniesiono kasę żelazną z 542 rublami, żandarma postrzelono.

— W Płocku zabito naczelnika powiatowego zarządu żandarmeryi.

— Dokonano napadu na stacyę Dorohusa. Zabito żandarma stacyjnego.

— W Odesie dokonano szerega napadów na policyę.

— Dn. 31 stycznia zabity został przy wsiadaniu do sanek Wiktor Grün, starszy agent policyi śledczej, który wsławił się torturowaniem więźniów politycznych. P. P. S. w odezwie wydanej d. 2 lutego ogłasza, że zabójstwa tego dokonano z rozkazu W. K. R.

Aresztowania i kary. Dokonano rewizyi w Czytelni Społecznej, oraz w lokalu redakcyjnym *Kuryera* w Lublinie. Aresztowano kasyerkę administracyi pi[illegible].

— Na st. Siedlce pasażerowie poddawani są ścisłej rewizyi.

— Wszyscy studenci rusińscy, którzy uczestniczyli w napadzie na uniwersytet, zostali aresztowani i oddani pod sąd krajowy.

— W Petersburgu dokonano rewizyi w instytucie technologicznym.

— Według pism poznańskich dotychczas skazano sądownie 15 księży, około 60 jest jeszcze postawionych w stan oskarżenia. Redaktorzy polscy są dotychczas skazani na ogólną sumę 20 tysięcy marek.

— W więzieniu piotrkowskiem wybuchnął strajk głodowy wśród więźniów politycznych, który objął przeszło 200 osób. Żądania były następujące: uwol-

nió politycznych, którzy przesiedzieli 3 miesiące, zesłać skazanych na zesłanie. Nazajutrz po strajku 63 osoby otrzymało wyroki skazujące na zesłanie do gub. Astrachańskiej i Samarskiej.

— Twierdza Szlisselburska, jak donosi *Kijewskij Gołos* ponownie została urzędowem miejscem więzienia przestępców politycznych. Osadzono w niej obecnie sześciu b. członków Rady delegatów robotniczych.

Katastrofy. Donoszą o drugim wybuchu w kopalni Reden. Liczba ofiar nieustalona, ale znaczna. Do kopalni zjechało uprzednio 600 górników. Przypuszczają, że wskutek pierwszej katastrofy zwłok będzie przeszło 200. Ogień uniemożliwia prace ratunkowe.

— W miejscowości Czukurlar, w pobliżu Liwadyi, zauważono zapadanie gruntu w morze na przestrzeni 11 tysięcy sążni kwadratowych. Pobrzeże jest zamieszkane, lokatorzy już opuścili domy, rada miejska żąda pomocy od władz.

Bandytyzm. W roku 1904 zaregestrowano 54 napady na mieszkania prywatne, instytucye i przechodniów w Warszawie, w 1905 r. liczba ta wzrosła do 93, a w r. 1906 do 152.

Strajki i lokauty. Skończył się lokaut w fabrykach tytoniu w Mińsku, po 3 miesiącach trwania.

— Strajkują górnicy w Polskiej Ostrawie. Przyczyną strajku jest wydalenie kilku robotników.

— W Baku szerzą się częściowe strajki w przedsiębiorstwach przemysłowych.

— W Iwanowo-Woznieseńsku zastrajkowało 1700 robotników.

— Teroryści strajkowi dokonywają napadów na sklepy szewckie i pracownie, niszczą towar i rozbijają [illegible]

— Pewnego rodzaju lokaut urządziła fabryka Żyrardowska, wymawiając pracę półtoratysięcznej armii robotnicznej oddziału tak zwanej Nowej Tkalni, za zbyt powolne wykonywanie robót. Wybuchło wrzenie, zarząd fabryki wezwał wojsko. Po kilku dniach zatarg został ułagodzony i roboty wznowione.

Sprawy szkolne i oświatowe. Uniwersytet dla wszystkich organizuje popularne wykłady krajoznawcze.

— Rada ministrów postanowiła utworzyć politechnikę w Nowoczerkasku, korzystając tymczasowo z personelu i środków politechniki warszawskiej.

— Przy Muzeum historycznem w Moskwie otwarty zostanie specyalny oddział, poświęcony pamiątkom współczesnego okresu rewolucyjnego. Zwłaszcza bogato zapowiada się dział literacki, do którego zgromadzono wszelkie wydawnictwa nielegalne, najróżnorodniejsze proklamacye i t. p.

— Odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa biblioteki publicznej

Prasa. W miesiącu bieżącym ma się ukazać miesięcznik *Ster*, poświęcony sprawie równouprawnienia kobiet we wszystkich dziedzinach życia. Ma on zająć stanowisko szczerze demokratyczne i postępowe, lecz niezależne, jako organ ruchu kobiecego, który nie daje się wtłoczyć w ramy programu żadnej partyi i posiada odrębną taktykę własną. Podpisywać będą pismo panie: P. Kuczalska-Reinschmit i J. Bojanowska.

Wiadomości ekonomiczne. Na dzień 1/14 stycznia b. r. w kasach oszczędnościowych państwa było przeszło 1 miliard rubli.

— Berliński *Konfektionär* donosi, że sześć największych przędzalni łódzkich, między innemi „I. K. Poznański" i „K. Scheibler" utworzyło między sobą towarzystwo z kapitałem zakładowym 200 mil. marek, w celu zabezpieczenia się przed ruchami robotniczymi.

— Piwowarzy kraju północno-zachodniego zjadą się w Mińsku w celu utworzenia syndykatu.

— Gazety moskiewskie donoszą, że w Moskwie zaczęto mleć pszenicę amerykańską, która nadeszła przez Rygę. Podobno i do Rybińska ma nadejść transport pszenicy amerykańskiej. Fakty te prasa tłomaczy nieurodzajem i zaległościami zboża na kolejach, wynoszącemi 41 milionów pudów.

— Ministeryum spraw wewnętrznych pozwoliło zakupić zawczasu 20 milionów pudów zboża na zasiewy jare. Dostawą zboża dla głodnych zajmuje się 40 firm handlowych. Ministeryum wydało na akcyę żywnościową przeszło 75 milionów rubli, z czego wydano do rozporządzenia ziemstw 8 mil.

— W Banku Państwa w Petersburgu spalono za 25 mil. rub. wycofanych z obiegu biletów kredytowych. Obecnie znajduje się ich w obiegu około 1,230 mil. rub.

— Związek oficyalistów rolnych, założony w Kijowie, otwiera we wszystkich ważniejszych punktach Rusi swoje oddziały. Obok Polaków zapisują się Rusini i Rosyanie.

— Minister spraw wewnętrznych rozesłał okólnik, polecający przestrzeganie odpoczynku niedzielnego i świątecznego we wszystkich zakładach handlowych i rzemieślniczych.

— Wszechświatowa produkcya złota, według obliczeń *The Statist*, przedstawia wartość 80 milionów funtów. Co dziesięć lat produkcya ta podwaja się.

— W Galicyi ma powstać pierwsza mechaniczna tkalnia bawełny na 500 warsztatów. Wydział krajowy dał na to przedsiębiorstwo 400.000 koron na $2^1/_2$%, które mają być spłacone w ciągu 24 lat, oraz poczynił ulgi w podatkach. Gmina andrychowska dała bezpłatnie 10 morgów gruntu i prawo korzystania z biegu wód.

Koleje i komunikacye. W roku 1906 sieć kolejowa w państwie wynosiła 158,215 wiorst, parowozów było w ruchu 17 tysięcy, wagonów 500 tysięcy.

— Zaległości ładunków na kolejach dpszły do 73 tysięcy wagonów.

Zmarli. Znakomici chemicy Mendelejew i Mieńszutkin w Petersburgu.

OFIARY.

Dla robotników łódzkich, dotkniętych lock'outem. Helena Ludwig z Żabiej rb. 5; Robotnicy cukrowni Borowiczki pod Płockiem rb. 7, kop. 80.

Na opał dla biednych, Lubieniecka z Żytomierza rb. 3.

Dla dzieci więźniów politycznych Lubieniecka z Żytomierza rb. 3.

Dla dzieci robotników łódzkich, dotkniętych lock'outem: Piotr Hoser rb. 5, Rogowska rb.3, Amelia Karwacka 1 rb., Dominik Tessaro 1 rb., A. Roszkowski 1 rb., S. S. 1 rb., Grupa lekarzy i intendent szpitala żydowskiego dla dzieci rb. 12, Płachecki 60 kop., Z. S. rb. 1, Dr. M. L. 3 rb., T. G., J. G., I. Z., K. W. rb. 4, oraz trochę rzeczy; Dr. L. Ch. 2 rb., A. W. rb. 2, Rebczyńska rb. 10, Współpracownicy firmy Mikołaj Brauman rb. 8, 30 kop., A. K. rb. 1, z redakcyi *Pisemka* rb. 10, z redakcyi *Ludzkości* rb. 45, 50 kop., Bujno 1 rb., X. Y. rb. 35, J. P. rb. 3, 50 kop., Tadzio, Maniusia i Wacek Wróblewscy rb. 3, Stanisław Ciągowski kop. 45, S. O. i Tadzio rb. 3, Marya i Wacław Janiszewscy rb. 3, K. F. rb. 1, R. Goldfeder rb. 10, A. S. rb. 1, M. Wąsowicz rb. 1. Julcia Stabrowska rb. 5, Jasia P. kop. 50, St. Rychter rb. 5, Fabryka Tarnopol rb. 5, Robotnicy fabryki Tarnopol rb. 5, Wienstock kop. 25, Szyffman kop. 50, Szempliński kop. 50, A. Bąkowska rb. 100, Uczennice z pensyi p. Maryi Grochowskiej w dniu imienin swej przełożonej rb. 30, Dr. A. Tomaszewicz-Dobrska rb. 15, M. P. kop. 50, Pracownicy telefonów rb. 7 kop. 30, Cecylia Bogucka rb. 1. Marya Poradowska rb. 1, Julia Jentysowa rb. 6, Wandzia Jentysówna kop. 75, Alina B. kop. 75, Adela J. rb. 1, Ł. J. kop. 50, M. J. kop. 50, W. J. kop. 50, Marysieńka J. otrzymane na gwiazdkę rb. 3, Janina W rb. 1, Z. i M. Wernerówny rb. 3, Kunke rb. 2, Zuzia, Ada i Amelka Goldfeder rb. 5. Aniela i Róża Cohn rb. 10, Feliks Stabrowski rb. 5, Bracia Seydel rb. 20, Z. G. rb. 2, Bezimiennie rb. 3, S. S. i D. R. rb. 3, P. K. rb 5, A. S. rb. 3, Ludwika Wernerowa rb. 10, Zamiast nabożeństwa za duszę matki W. rb. 2, Janek R., Lodzio Ł, Mania R, Irena, Muta, L., Janka, St. L., Stasia L., Irka Sien., Tola R. rb. 1, 80 kop., Chodaczyński rb. 3, Ks. Mausberger rb. 4, Jadzia i Janka rb. 1, Bezimiennie rb. 3, Karol Rose z Berlina rb. 232, Wojciechowski rb. 10.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.